

WSPOMNIENIA  
Z WYPRAWY MYŚLIWSKIEJ  
DO SYRYI

ROKU 1881.

PRZEZ

*Leopolda hr. Starzeńskiego.*

(STARANIEM REDAKCYI „ŁOWCA”).

Przedruk z „Łowca”.

WE LWOWIE  
NAKŁADEM GALIC. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO  
Z I. Związkowej Drukarni we Lwowie.  
1882.



C1566



Zbiory E-1

WSPOMNIENIA  
Z WYPRAWY MYŚLIWSKIEJ DO SYRYI  
ROKU 1881.

PRZEZ

LEOPOLDA HR. STARZEŃSKIEGO.

(Staraniem redakcyi „Łowca“).

E.J. Starzeński

Przedruk z „Łowca.“



L W Ó W.

NAKŁADEM GALIC. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Z I. ZWIĄZKOWEJ DRUKARNI.

1881.



2248

S-2248

D-08/420/331



23.07.

101-



Dnia 8 Lutego 1881 roku, o godzinie 6 zrana po raz trzeci odezwał się dzwonek na głównym dworcu we Lwowie, i wyruszył pospieszny pociąg kolei Czerniowieckiej. — W jednym z wagonów siedziało sześciu podróżnych. Kto widział ilość pudełek ze strzelbami, krzesełek myśliwskich i innych przyborów łowieckich, które dwaj strzelcy, i legion cały numerowanych sług kolejowych znosili do tego wagonu, ten wątpić nie mógł, iż to grono myśliwych, które się na jakąś wielką wybiera wyprawę. Pociąg poruszył się z wolna, a potem przyspieszył kroku. Przyrodę w około podwójna okrywała powłoka poranka zimowego i mgły nadzwyczaj gęstej. W wagonie, w którym siedzieli nasi podróżni, zapanowała przez dłuższy czas głucha cisza. Daleka, ciężka, a może i niebezpieczna przed nimi stała wyprawa, u której kresu świeciła w dali nadzieja wielkich wprawdzie myśliwskich rozkoszy, ale czyż takowe w istocie urzeczywistnione będą, ale czyż każdy z uczestników z pewnością doczeka widoku tej oddalonej zorzy? Dla tego to jakaś dziwna zimora w pierwszych chwilach zawisła nad duszą myśliwych naszych. Dla tego to panowało milczenie w owym wagonie, który na daleką wyprawę wiozł to zazwyczaj wesołe grono. Od czasu do czasu wyrwało się nawet z piersi jakieś głuche, przytłumione westchnienie. Nie dziw, wszak każdy pewnie z jadących zostawiał za sobą jakąś drogą sereu istotę, którą dręczył niepokój o losy uczestnika tej wyprawy. W niejednym oku gdzieś została może łza, która daleko za morza płynąć miała w ślad za naszymi myśliwymi. Taka to łza westchnienie owe z piersi wydzierająca. Powoli jednak smutne wrażenia ustąpiły, zawiązała się ożywiona rozmowa, a podstawą jej były w dali widne zapasy myśliwskie, i słyszeć się dawały dziwne nazwy jakieś, jako to: pantera, antylopa, szakał, frankolin i podobna inna nieznana w Europie zwierzyna. Z tej podsłuchanej rozmowy nietrudno było odgadnąć, że to jakieś łowieckie grono puszcza się na daleką, niezwykłą wyprawę, gdzieś daleko po za granicę Litwy i Korony.

Ogłoszony w „Łowcu“ artykuł podpisany przez Karola Brzozowskiego słynnego poety naszego, dziś Wice-Konsula hiszpańskiego w Lattakii, a znanego na Wschodzie strzelca pod nazwą: „Kara Audzi“, zebrał około niego to myśliwskie grono.

Kilkakrotnie umieszczane później w „Łowcu“ artykuły wzywały lubowników łowiectwa w kraju naszym do tej wyprawy uroczej do Syrii. Sądzone, iż tradycyjne u nas zamieszkanie do łowiectwa, pozostałości w nas z rycerskiego

ducha naszych przodków, zwołają pod ten sztandar liczne zastępy, ale — jak to zawsze u nas bywa, zapal się stygnie w miarę zbliżania się stanowczej chwili. Ci, którzyby byli mieli ochotę, nie mieli środków, ci zaś, którym środki nie stały na przeszkodzie, nie mieli ochoty czy odwagi. — Co gorsza, ci którzy uczestnikami wyprawy być nie mogli lub nie chcieli, odradzali naszym ochotnikom, niewiem czy z dobrej wiary, czy może z zazdrości, i przedstawiali piętrzące się wale trudności różnych, w postaci olbrzymich kosztów i groźnych niebezpieczeństw. Nawet niektóre usłużne dzienniki raczyły się łaskawie zaopiekować tą sprawą, z nałogu wściubiając zawsze swój nos gdzie niepotrzeba, jakby lis do naszego kurnika. — Jeden z nich nazwał tę wyprawę awanturniczą, a nawet w szlachetnym zapale uderzył w popularny u nas dzwonek niby-patryotyzmu, krzycząc zużyty, ale zawsze popłacający frazes: „Wyrzucanie pieniędzy za granicą“. Przytoczył nawet okoliczność, iż wielu jest naszych wychodźców potrzebujących chleba w Stambule i t. d. Na ten zarzut najlepszą już otrzymał ten dziennik odpawę od dowcipnego kronikarza „Dziennika polskiego“ w słowach: „A co Waćpanu do tego?“ Dodać do tego można jeszcze ogólnikowo, niczyjej nie chcąc naruszać skromności, iż właśnie ta wyprawa nasza na Wschód, niejednemu z tych wychodźców naszych na Wschodzie większą właśnie przyniosła korzyść, niż wszystkie wykrzykniki i pseudo-patryotyczne fajerwerki dziennikarskie. *Sapienti sat.* W obec tego przekonani jesteśmy, że ów dziennik dziś swego niedorzecznego wystąpienia w tej sprawie szczerze żałować musi.

Wróćmy do naszych podróżnych! do owych sześciu, którzy pociągiem Czerniowieckim puścili się w drogę ze Lwowa do Syrii. Byli to: Kara Audzi, wódz naszej wyprawy, dwaj bracia Józef i Kazimierz hr. Drohojowscy, Piotr Rudzki, przybyli umyślnie z Paryża do Lwowa, by dzielić losy naszej wyprawy, Aleksander Hulimka i ja. Prócz tego dwaj nasi towarzysze Rudzki i Hulimka mieli ze sobą swoich strzelców. Wyprawa nasza składała się więc z ośmiu członków. W Czerniowcach nasz zastęp wzmocnionym został dziesiątym: Michałem Brzostowskim, znanym myśliwym gór Stryjskich, który, jak się później okazało, prawdziwą się stał opatrnością wyprawy naszej.

Co do mnie, przedsięwziąłem, zachęcany przez Redakcję „Łowca“ i własnym nałogiem ustawicznego bazgrania doznanych wrażeń, wszystkie, najdrobiazgowsze nawet czasem wypadki naszej wyprawy spisywać sumiennie, by kiedyś podzielić



nimi z braćmi moimi w Hubercie w szpaltach tak chciwież nas wszystkich myśliwych czytowanego „Łowca“. Przewszystkiem zastrzedz się muszę wobec możliwego zarzutu, opis takiej wyprawy zbyt powierzchownie śmiem traktować. Tak jest w istocie! Te notatki moje nie mają żadnej naukowej, historycznej, ani archeologicznej wartości, i do takowej nie dążą. Odbywamy wyprawę myśliwską, pierwszą podobność podjętą przez myśliwskie towarzystwo polskie, w tem więc leży wedle mego przekonania cały jej interes, i tego się trzymam.

Co do opisu podróży po Wschodzie, niechęć pod względem geograficznym i innym rywalizować z Bedekerem, i przeważnie myślistwo muszę mieć na oku. Wrażenia, jakie mi się mimowoli pod piórą nasuwają, kreślę na ślepo, bez wiedzy prawie, i za ten nieład myśli z góry przepraszam czytelnika. Archeologiem nie jestem niestety! Nie badam, czy kilka cegieł mniej czy więcej pozostało jeszcze w jakiejś tryumfalnej bramie, przez którą, na co historycy dają słowo honoru, Pompejusz przechodził. Przysięgam, iż na Azyatyckich wybrzeżach nawet sobie pracy zadawać nie będę, by odszukać owego kamyczka, który wyleciał z procy Dawida i zabił Goliata, szukać nawet nie myślę obręcza z beczki Diogenesa, kopać w ziemi za niczem nie będę, bo się przyznaję do nieuctwa w tej mierze. Jedynem dla mnie ciekawem wykopaliskiem mógłby być chyba lis wykopany z jamy. Bardzo więc pobieżnie zamyslam traktować opis całej podróży, aż do chwili, w której padł nasz pierwszy strzał na azyatyckich wybrzeżach, a osobliwie opis przez kraje pół-europejskie, które żadnego nie wzbudzają zajęcia.

Minawszy Suczawę, podróż przez Rumunię i inne z łaski sąsiadów utworzone nowe państwa zająć może tylko niewidziannym nieładem na kolejach, gburstwem konduktorów i podobnemi innemi przyjemnościami, które tu podróżnego na każdym kroku spotykają. Najprzykrejsze w istocie sprawiają wrażenie te nowe kraje, które dziś przedzielają rogi mahometańskiego półksiężyca od ostatnich piór skrzydeł orla austriacko-węgierskiego. Przejeżdżając przez te kraje, myśl mi przyszła, iż byłoby pożądanem może, ażeby półksiężyc nieco rozsunał swe rogi, a równocześnie orzeł austriacko-węgierski rozstworzył swe skrzydła. Pod osłoną taką, kraje te wyglądałyby lepiej, niż wyglądają dzisiaj, a podróżujący zyskałby na tem z pewnością. Wiatr ożywiający, który powołał do życia te nowe kraje, wionął widocznie aż od Sybiru. To też przejeżdżając przez Rumunię, Bułgarię, zastaliśmy tam istny syberyjski klimat. Wiosna, która pierwszymi swoimi powiewami powitała nas we Lwowie, gdzie w Lutym już śniegu wcale nie było, pożegnała nas w Rumunii. Tu zima w całej pełni. Przebyliśmy więc kolejną ten nowy rumuńsko-bułgarski Sybir, a to kolejną rumuńską!... Tu kolej jest wynalazkiem przeznaczonym chyba tylko do przewożenia w razie potrzeby wojsk sąsiada, dokąd się takowym ruszać podoba, ale w żadnym razie nie jest wynalazkiem służącym ku wygodzie podróżnych. Zmieniające się co chwila linie kolei, niepewne godziny odjazdu, i tym podobne przyjemności, o których urzęda nigdy podróżnego dokładnie uwiadomić nie mogą czy niechęć, oto są niespodzianki, na które zawsze przygotowanym być trzeba. Słowem podróżny jest tu podobnym do owego wilka na stepach ukraińskich, którego gonią na rozstawnych koniach. Konduktorowie rozmaitych linii kolei tutejszych umieją wzajemnie podawać go sobie w sposób umiejętny, każdemu z nich biedny podróżny zostawić musi częśćkę swej skóry, aż nareszcie zmęczony, znękany, z sił opada jak wilk zforsowany, jeśli dość sił nie miał, by umknąć za granicę. Tak jest znakomity porządek na kolejach tutejszych, że między stacyami Roman a Bukareszt, już dwa

kuferki nasze gdzieś zginęły. I za to kolejom tutejszym winniśmy wdzięczność, że zginęły tylko dwa, wszakże ze sobą mamy ich z piętnaście.

Rzućmy więc zasłonę na ten nowy sztucznie utworzony Sybir i przejdźmy szybko do chwili, w której grono nasze myśliwskie przybyło wreszcie do Warny, by przejść jak najprędzej w krainę Padyszacha, w dziedzinę tak zwaną: „Chorego człowieka“. Noc tylko jedna dzieliła nas od dziedzin, w których światło półksiężyca miało na długo naszych podróżnych oświecać. Ten „Chory człowiek“, o którym wspomnieliśmy przed chwilą, tak jest cierpiącym w istocie, że w jego wyzdrowienie nikt już dziś nie wierzy. Jestto uwiad schyłkowy u starca. Siły uchodzą i dnie jego policzone. A jednak ten konający, chory człowiek współczucie wzbudzić musi, bo jest przeżyty i już nieużyteczny, ale pocziwy. Lepszy może od owych lekarzy, którzy otaczają jego łóżce udając, że mu chcą nieść pomoc, i zadają różne leki, oczekując niecierpliwie chwili, w której spuścizną po chorym człowieku będą się mogli podzielić.

Warna, to cel ostatni naszej kolejowej podróży. Tu już na długo dla naszego ucha umilknąć będzie musiał świst lokomotywy. Odtąd oddać się musimy w moc Neptuna, którego rozległe państwo dzieli nas od upragnionych Syryjskich brzegów. W Warnie zastaliśmy austriacki statek Lloyd'a: „Niobe“. Późno wieczorem przybyliśmy na pokład, a Czarne morze zwykle burzliwe i niespokojne, jakby przez wyłączną uprzejmość dla nas, miało powierzchnię spokojną i równą, podobną do rozlanej oliwy. Pomimo tego zbyt wesoła Niobe na tej spokojnej powierzchni zaraz hasać poczęła w sposób nieznośny. Istna Niemka, zawsze gotowa do tańca, choć nie gra muzyka. Dwóch naszych towarzyszy zaraz padło ofiarą tej wesołości, przechodząc w stan wcale nie wesoły dla podróżnych, którzy są drażliwi na morską kołysankę. O świcie wszyscy zdrowi i chorzy byliśmy na nogach. Przy pierwszym dziennym brasku, wszyscy uzbrojeni w binokle, perspektywy, staliśmy na pokładzie, niechęć uronić najmniejszej części widoku, któregośmy oczekiwali — widoku Bosforu. Niecierpliwość wszystkich opanowała, gdyśmy się ujrzeni otoczeni mgłą gęstą, co zresztą w tej porze roku na Czarnym morzu jest rzeczą codzienną, a raczej conocną. Owa mgła była dla nas fatalną tylko z powodu, iż nam widok wybrzeży zasłaniała, inaczej stała się fatalną dnia tego dla poprzedzającego nas rosyjskiego statku, płynącego z Odessy, który zatonął na wodach Warny. Niecierpliwość naszą mniej przykrą czyniły wrażenia inne, które zawsze przemawiają do myśliwskiej duszy. Odzywały się wszędzie dokoła znane tak dobrze, a zawsze lubie dla ucha strzelca, głosy ciągnącego ptactwa: gęsi, żurawi i kormoranów. Na falach, tuż koło statku, koziółkowały figlarnie delfiny, i wszystko poczęło się rozweselać w około. Nad głowami naszymi przeleciał ptaszek. Jakież było nasze zdziwienie, gdyśmy w nim poznali gołębia grzywacza, tak zwykle u nas ostrożnego ptaka, który zmęczony podróżą i walką z mgłą i z wiatrem, widocznie zaufał gościnności naszej, i usiadł na maszcie tuż nad głowami naszymi. Mimo hałasu na pokładzie biedna ptaszyna ze spuszczonej skrzydłami przesiedziała parę godzin na maszcie, i dopiero ujrawszy w pobliżu Azyatyckie wybrzeże zielone, klasnęła w skrzydła, i w dal uleciała.

Gołąbku biedny! witaj mi w podróży!

Dążysz w rodzinne me strony,

Twe skrzydła morskiej zniesie niemogą burzy,

Nie wzlecisz w nasze zagony.



Oczekaj! — Na falach się statek kołysze,  
Na maszcie usiądź ptaszyno!  
Tu wypoczynek tu znajdziesz i ciszę  
Aż wichry, burze, przeminą.

Leć na Wschód!... Po co?... Po co? Lecz któż pyta,  
Jeżeli boleść za serce chwyta?

Leć na Wschód z nami! Tam rośnie ziele,  
Co wszystkie rany uleczyć zdoła,  
Może to serce, w którym ran wiele  
Także wyleczy..... Szukajmy zioła!

Leć z nami ptaku! Lepiej na morzu!  
Za lądem porzuć twe zale,  
Fale mniej straszne na mórz przestworzu,  
Niż życia burz mętne fale.

Patrz! mnie nie trwożą morskie podróże,  
Ni myśl, że statek zatonię,  
Lepsze to, niżli światowe burze,  
Lepiej gdzieś spocząć w mórz łonie.

Usłuchał proźby ptak srebrnopióry,  
Na maszcie usiadł nad nami,  
I nad głowami naszymi z góry.  
Wdzięcznie trzepotał skrzydłami.

Tak przebył Bosfor. Brzegi zielone  
Skoro obaczył gdzieś w dali,  
Klasnął skrzydłami... w daleką stronę  
Pomknął... nad grzbietem znikł fali.

Tak dusza biedna w życia podróży  
Nieraz gdzieś czepia się nawy,  
Lada maszt dla niej zbawienie wróży,  
I płynie w dal — bez obawy.

Ten siwy gołąb — to obraz duszy....  
W leki na Wschodzie gdzieś wierzy,  
Wierzy, że nawa życia wyruszy  
W dal... do zielonych wybrzeży.

Bosfor był wreszcie przed nami. Cóż za szkoda, że Stambuł okazał się w obec nas tak zazdrośnym o wdzięki swej cudnej oblubienicy, Bosforu, jak mąż muzułmanin o wdzięki swych małżonek, którym zasłoną okrywa oblicze. Ta mglista zasłona na Bosforze w istocie równie była nieznośną, jak później w Stambule muszlinowe zasłony na twarzach pięknych Turczynek. Na szczęście nasze Bosfor uczynił tak, jak to czynią owe Panie na widok Europejczyka, nieznacznie uchylają zasłonę. Bosfor także z czoła swego odgarnął mglistą powłokę i ujrzeliśmy wdzięki, o jakich we śnie zaledwo wolno nam było zamarzyć. Zatoka Neapolitańska i Rio Janeiro są to jedyne dwie miejscowości na świecie, którym wedle zdania turystów wolno z Bosforem współzawodniczyć. Nieznam tamtych dwóch cudów świata, ale jest to dla nich niezawodnym zaszczytem, jeśli im do takiego współzawodnictwa przyznano prawo. Nie wiem czy pióro jakiegokolwiek poety mogło być na tyle szalono-śmiałe, by chcieć te piękności opisywać. Nie wiem czy pędzel jakiegokolwiek artysty mógłby być na tyle bezczelno-zarozumiałym, by chcieć to wszystko martwymi farbami na zimnem płótnie odwzorować. Neapoli-

tańską zatokę opiewa zakochany i rozmarzony Włoch w gondoli przy gitarze:

„O! dolce Napoli! — o! sol beato...”

Bosforu nikt w ten sposób opiewać nie potrafił. Dla czego? Tego nie wiem. Może dla tego, że tu nad falami ulatują duchy jakieś, które pieśń miłosna sama niezdola objąć i uchwycić w swe pęta... i należytą nie nada im barwy. To świat cały, nad którym wieje jakiś wiatr inny, w obec którego nawet pieśń miłosna w jakiś dyssonans przechodzi. Poematu ani malowidła dokładnego Bosforu dotąd nikt nie wynalazł i nikt nie odtworzył. Kto chce zbadać przyczynę tej tajemnicy, niech tam jedzie, a przekona się naocznie.

Siódme niebo obiecał Mahomet wyznawcom swoim. Nie wiem czy słowa dotrzyma, ale to pewne, iż tego siódmego nieba niepotrzebują ci, którzy Bosfor posiadają. Ile razy wspomnienia tego widoku przed moją pamięcią przelatują, pozostają w niemem zachwyceniu tak jakby przed epizodem rozstrzygającym, którego się było świadkiem, a którego wspomnienie na zawsze w pamięci wyrytem zostaje. Turyści, którzy świat zjechali, a niewidzieli tych cudów przyrody, czas niepotrzebnie stracili na podróżach.

Dla tego to na opis Bosforu silić się nie będę, bo zawsze w życiu wszelka parodia była mi wstrętną.

Wjechaliśmy do portu Konstantynopola oczarowani, zachwyceni. Nawet ci dwaj towarzysze nasi, którym wesoła Niobe swoim tańcem tak dokuczyła w nocy, zapomnieli o przebytych dolegliwościach, w obec cudów roztaczających się przed ich oczami.

W około nas, po obu brzegach, wśród roślinności o najjaskrawszym kolorycie, wszędzie wznoszące się na obu wybrzeżach, europejskiem i azyatyckiem, w najdziwniejszym stylu i kształcie pałace, nad nimi sterczące wieże minaretów, wszystko to otoczone ogrodami zawieszonymi na wzgórzach i czyniącymi wrażenie rozmaitych warstw mchu różnobarwnego na skałach. Oto ramy obrazu, w którym nasz statek, jakby na olbrzymiem płótnie, którego tłem były morskie fale, zapłynął nareszcie do portu. W około nas liczne stada delfinów koziołkowały ciągle tuż w pobliżu statku. Wesołe te ssaki wodne przypominały nam stada dzików przewalające się podczas nawalnej zimy, przez zasypy śnieżne. — Nad głowami naszymi krążyły niezliczone zastępy kormoranów, które odbywały straż około portu, a zbadawszy, jak czujne policyanty, wszystko co statek który zawierał, powracały ku wybrzeżom i zasiadały spokojnie na wieżach minaretów, a nawet na dachu czarownego zamku sułtańskiego Dolma-Bakeczy, gdzie bezpieczne przed śrótem czyhających na nie strzelców, bezpieczniejsze tu na dachu, niż może sam sułtan w swoim pałacu, spokojnie noc przepędzają. Żadne ptactwo wiosenne tak liczną hurmą nie spada na nasze niwy, jak w porcie stambulskim roje wioślarzy, agentów i rozmaitych drogmanów na pokład przybywającego statku. Żaden też rodzaj ptactwa nie jest tak krzykliwym, jak te zgraje, żaden zgłodniały ptak z taką chciwością nie chwyta swego żeru, jak ci agenci chwytają podróżnego z Zachodu, bo to jest ich żer ulubiony.

Nie wolno mi Konstantynopola opisywać, bo to nie wchodzi w zakres pamiętnika myśliwskiego. Tę jedną śmiem tylko uczynić ogólnikową uwagę, iż Konstantynopol podobnym jest do owej kobiety o cudnej urodzie, której wdzięki każdego z dala oczarować muszą, ale nie zbliżaj się do niej, bo straszne będzie rozczarowanie, nie znajdziesz tam ani serca, ani duszy. Konstantynopol, by się nie narazić na rozczarowanie, trzeba



widzieć o wschodzie lub o zachodzie słońca z Bosforu, z daleka, tak jak na scenie wyróżniana artystka o zgasłych wdziękach, powinna być widziana tylko przy świetle gazu z łoża dalszej i przez niezbyt silne szkła. Tak w jednym jak i w drugim razie, jeśli chcesz zachować złudzenie, nie idź za kulisy, nie idź w ulice Konstantynopola. Są tu i w mieście pewne rzeczy niezwyklej piękności, już do przesytu opisywane, na przykład sultańskie pałace: Dolma Bakeze, Czeregan, Beglar i inne, meczet św. Zofii, grobowce rozmaitych sultanów, wieża Galaty, porfirowa kolumna Justyniana, marmurowa Teodozyusza i krocie innych piękności. Ale miasto samo, pożałuj Boże! Miasto muzułmańskie czyli stary Stambuł zachowało nieco jeszcze swego dawnego kolorytu. Ludność muzułmańska, ze wszystkich narodów może najgrzeczniejsza, najuczynniejsza, a bezwzględnie najuczciwsza, tu się skupiła. Nie zdemoralizowana jeszcze przez wpływy obce, tu zachowała jeszcze do pewnego stopnia, swoje tradycyjne enoty.

Dla tego to w sklepach nawet spotkać się tu można jeszcze z rzadką uczciwością, nieznaną w naszym cywilizowanym Zachodzie. Ale co do form zewnętrznych, jak we wszystkich miastach południowych, wielki tu panuje brak czystości i porządku. Rzecz to dziwna, iż Muzułmanie, najczystszej pewnie ludzkiej na świecie (albowiem Alkoran przepisuje im ablucję kilkorazowe co dzień, i najmniej dwie kąpiele na tydzień, czego najsumienniejsi się trzymają) żadnej nie czują potrzeby utrzymywania w czystości swoich mieszkań i ulic miast swoich. — Śmiesznym wydawać się może zarzut taki, uczyniony Turkom przez przybysza, Galicyanina. Już to my nie wiele mamy prawa żądać czystości w miastach za granicą, my, którzy posiadamy nasze żydowskie miasteczka. Ale to rzecz pewna, że szlachcie polski ma w sobie jakąś krytykującą żyłkę i wady i przywary wszędzie wypatrzeć lubi, byle nie w sobie. Śmiało jednak powiedzieć można, że miasta na Wschodzie nie o wiele są czystsze od miast we Włoszech i w Hiszpanii, ani od naszej Zarwanicy i Krakowskiego przedmieścia. Ta jedna tylko zachodzi różnica, że mieszkańcy tych ostatnich miejscowości w dodatku od kąpiele się wstrzymują.

Miasto chrześcijańskie, a właściwie przedmieścia Pera i Galata przedstawiają dziwną mieszaninę wschodniego barbarzyństwa z gangreną zachodu. Łatwy do pojęcia wynik takiej mieszaniny. Dziś Muzułmanin zatarłszy tradycję swoich cnót dawnych, wyuczony chciwości, chytrości i przebiegłości od nalciających tu wyrzutków europejskiego społeczeństwa, nie dorównał jednak swoim mistrzom, bo wiara i tradycja są to dziwne hamulce, których Muzułmanin żaden skruszyć do szczytu nie umiał, nie umiał dotąd zostać ani ateuszem, ani socyalistą, ani nihilistą. Dla tego to kradzieże i rozboje są tu rzeczą codzienną, ale jak statystyka policyjna wykazuje, wykonywane bywają prawie wyłącznie tylko przez ludność chrześcijańską, przeważnie przez Włochów, przez Ormian i Greków.

Zwiedziwszy wszystkie wdzięki i strony ujemne Konstantynopola wyznaję, iż szczerze zacząłem wzdychać do chwili wyjazdu, nie mając bynajmniej zamiaru jako turysta, lecz raczej jako myśliwy odbywać tę podróż, co też wyraźnie w programie naszym postawionem było. Na nieszczęście statek Mes-sageryi francuskiej dopiero 16 Lutego odpływał do Mersyny. Dzięki uprzejmości austriackiej ambasady tutejszej wyjednano dla nas firman sultański, który wszelkie z przyszłej naszej drogi miał usunąć przeszkody, a którego tłómaczenie dla oryginalności stylu tu umieszczam:



Władco szanowny, o czynach wolnych, pełnych czci i poważania! Porządku świata, kierujący sprawami publicznymi, z mądrością i porządkiem, rozstrzygający te sprawy z najwyższą oględnością, otwierający drogi szczęśliwości teraźniejszej i przyszłej! Podporo podstaw tej szczęśliwości, otoczony wiecznym czujnym okiem Opatrzności, wybrańco Państwa Ottomańskiego, wysoce poważany Gubernatorze Wilajetu w Syrii, ozdobiony orderem Medjidie I. klasy i orderem Osmanije, Ex-Wezyrze, szanowny ulubieniec mój Achmet Hamdi Paszo! Niech Najwyższy czuwa nad tobą!

(Tu następują podobne tytuły, zastosowane dalej do Gubernatorów Dzemil Paszy w Aleppie i Abedin Paszy w Adanie).

Gdy ten mój rozkaz Najwyższy odbierzesz, dowiesz się, że kilku Panów ze szlachty z krajów należących do monarchii austriackiej, a mianowicie Panowie: Leopold hr. Starzeński, Józef hr. Drohojowski, Kazimierz hr. Drohojowski, Karol Brzozowski, Wice-Konsul hiszpański w Lattakii, Aleksander Hulimka, Piotr Rudzki, Michał Brzostowski, w towarzystwie dwóch swoich sług, w tej chwili odjeżdżają z dziedzin Mojej szczęśliwości, aby się udać w podróż do Wilajetów Syrii, Adany i Alepu. Masz ich przyjąć jak najuprzejmiej, odpowiednio do ich stanowiska, gdyż są tego godni. Ten Najwyższy rozkaz na ich prośbę wydałem. Gdy przejrzyś obowiązujące Cię ustawy naszego Państwa, znajdziesz tam zapisane umowy, zawarte z zaprzyjaźnionymi z nami Mocarstwami. Wedle nich podróżni i kupcy wolni mają przejazd przez moje Państwo, a opieka Najwyższego nad nimi. — Gdy wyjeżdżając z miejsca szczęśliwości Mojej przybędą do krajów, które Twojej powierzyłem opiece, masz się zastosować do tego co Ci nakazałem. Przyjmiesz ich jak najuprzejmiej, będziesz ich straszył Twoją opieką, i masz w każdym względzie być im pomocnym. Gdyby im potrzeba było środków do przewozu, masz im takowych dostarczyć, jak Ci to nakazują ustawy. Masz czuwać nad ich bezpieczeństwem. Taka jest Moja Najwyższa wola. W tym to celu wydanym został niniejszy Firman w dniu 15 miesiąca Rabbi-Evel roku 1298.

Na odwrotnej stronie tego dokumentu, który jest wielkości flagi okrętowej, następują podpisy Wielkiego Wezyra i wszystkich ministrów, etykieta bowiem muzułmańska nie pozwala najwyższemu nawet dygnitarzom, podpisywać swego nazwiska na karcie, na której jest podpis Padyszacha.

Nadeszła nareszcie chwila tak dla mnie upragniona, chwila, w której opuścić mieliśmy nareszcie ten nudny Stambuł. Dnia 16 Lutego o godzinie 4 po południu wsiedliśmy na pokład francuskiego statku „Cambodge“. Cóż za różnica z nieznosnymi statkami Lloyd, tak pod względem wygody, jak i uprzejmości kierowników i służby okrętowej. O wschodzie słońca przepłynęliśmy przez Dardanele i płynęliśmy w pobliżu wyspy Tenedos. Czas był prześliczny, morze dość spokojne. Piękny ten poranek na długo utkwiał mi w pamięci. Archipelag grecki jest czarująco piękny. Tu doznaliśmy pierwszych skutków sultańskiego firmanu, który powoływał wszystkie władze ottomańskiego Państwa, by nas strzegły i dawały nam potrzebną eskortę. Otóż najpiękniejsza, bo napowietrzna i srebrno-biała eskorta otoczyła nas na wodach Archipelagu, i statek nasz okrążyła.



Liczne stado białych mew zawzięcie goniło za statkiem, to siadając na falach morskich, to krążąc nad głowami naszemi. Piękne te ptaki oswojone z pochodem statków, czysto z utilitarnej strony tę podróż odbywają. — Podróżni zazwyczaj dla rozrywki rzucają im kawałki chleba lub owoce, które zgłodniała ptaszyna z niezwykłą zręcznością chwycić umie. Długo bawiłem się z nimi w ten sposób, aż mi zapasu chleba nareszcie w kieszeni zabrakło, a biedne ptactwo z krzykiem domagało się natrętnie nowego pokarmu. Jestto już widać takie przeznaczenie, że zwykle europejczyk przyjeżdża na Wschód po to, by oszukiwał tamtejszych mieszkańców, każdy w swój sposób to czyni, jak kto może. I ja nie okazałem się lepszym od moich współ-braci. W braku chleba rzuciłem w powietrze bujającym ptakom kilka papierków cygaretowych. Ufne w uczciwość europejską połknęły je bez namysłu. Zapóźno poznały zdradę, nastąpiły więc krzyki, wrzaski, wymówki. Szczęście moje, że nierozumiem ich języka, bo sądząc po podniesionym głosie, gwałtownym ruchu skrzydeł, obsypywano mnie obelgami, niedobierając wcale wyrazów, tak, jak nasze dzienniki w polemice ze sobą. Na dnie charakteru mieszkańców Wschodu zawziętość nie leży widocznie, poczeiwe mewy przebaczyły mi wkrótce ten żart niegodziwy i dalej poczęły eskortować nasz statek. Po lewej stronie ciągnęły się wybrzeża azyatyckie, na których się piętrzyły góry okryte śniegiem. Po prawej wyspa Mitilena, okryta pięknymi ogrodami, pełnymi drzew oliwnych i migdałowych. Miasto Mitilena na wzgórzu z fortem, którego Bóg wie kto dziś broni, przypomina w zarysach zwaliska zamku Trembowelskiego. Tak jak Chrzanowska broniła swego zamku przeciw Turkom, tak i Grecy niegdyś długo bronili swojej Mitileny. Upadli — dla czego?... Na to Byron odpowiedział:

„Bo tylko własne upodlenie ducha  
„Nagina wolnych szyję do łańcucha“.

A czyż Grecya dzisiejsza warta lepszego losu? — Nie. To też i Byron wyrzekł:

„Nie, Grecy! — nie mam litości nad wami!“

W narodach tak się dzieje zazwyczaj, jak w pojedynczych rodzinach. Prawniki bohaterów stają się kupcami i ród upada. Potomkowie Leonidasów stali się kramarzami, worek pełen złota jest dziś ich sztandarem, giną tradycje, błędnie miłość Ojczyzny, Grecya upaść musiała! Czyż opis podróży przez ten szlak historyczny, słynny już z czasu wojen Dariusza i Xerksa, a później z czasu wojen krzyżowych, nie byłby niesmacznym plagiatem tytułu opisów nakreślonych przez mistrzowskie pióra? Czyż wypada mnie, myśliwemu z podolskich stepów, jadącemu na łowiecką, a nie na naukową wyprawę, na tak olbrzymie porywać się dzieło? Tej śmieszności uniknę i pozostanę zawsze tylko sprawozdawcą naszej wycieczki myśliwskiej. Zamilczę nawet na teraz i owe wrażenia, które duszę rozpiekają, a kreślę tylko osobiste uwagi, które mimowoli pod pióro się nasuwają. Wybrzeża Azji po lewej stronie ciągle jeszcze przed nami. Taurus skalami swojemi, i śnieżystymi szczytami urozmaica nam jednostajność morskiej podróży. Na prawo morze — morze — i ciągle morze!.....

Zkąd duma ludzka postawiła pewnik, że człowiek jest bezwzględny i bezwarunkowy panem tego świata? A przecież większa część tej kuli ziemskiej, którą on sądzi, iż w moc swoją ujął, jest zalana morzem, w którym potęga tej dumnej istoty ustaje. Jeśli za pomocą pary i wynalazków różnych innych

człowiek część powierzchni tego świata opanował i po tej powierzchni żegluję, niechże nie sądzi, że już jest panem tego całego wodnego świata. Jedna burza, jedno rozbicie o skały, a człowiek wraz z całym wynalazkiem swoim zapada w głębie królestwa innego, tam władza jego ustaje, duma jego ukorzyć się musi, tam wpada w moc potęgi ościennej, o wiele silniejszej, niż potęga jego ziemską. Tam królem wieloryb, i to królem szczęśliwszym od naszych ziemskich monarchów, bo się nie lęka ani rewolucji, ani atentatu, ani nitrogliceryny. Zresztą bardzo do innych władców podobny, bo zazwyczaj spokojny, łagodny i osobiście nie cheiwy krwi, zadawałniający się swoją listą cywilną z pewnej ilości drobnych rybek, które mu Ocean codziennie jak najakuratniej wypłaca. Sam dla siebie osobiście niewiele potrzebuje, i rozbitków nie pożera. Ma on wszelakoż, jak nasi monarchowie na ziemi, swoich ministrów i krocie urzędników, niewiem czy politycznych, czy sądowych, a tymi są krwi cheiwe rekiny, i krew pijące pienory, niby nasze urzędy podatkowe. Ma on wielką mnogość ryb tłustych, niewinnych i nieporadnych, które, jak nasza szlachta i chłopci, służą za pokarm jego pienorom i rekinom. Lada burza, lada rozbicie okrętu, a dumny człowiek wraz ze swoją lokomotywą i innymi wynalazkami wjeżdża bezwiednie w granice tego najpotężniejszego państwa. Rekiny, jako straż czujna oczekują go u granicy, i żaden firman, żaden paszport choćby przez ambasadę podpisany, już mu niepomocze. Człowieku! wiecznie dumna, wiecznie zarozumiała a niepoprawna istoto! Czyż w obec tej potęgi, która ci grozi, śmiesz jeszcze twierdzić, że jesteś panem świata? I wy wszyscy socjaliści, nihilisci i realisci, których podstawą uszczęśliwienia ludzkości jest ateizm, przekonanie, iż nie ma Boga, i zasada, że używanie bez granic jest celem jedynym ludzkiego życia! Jakże wam łatwo głosić te wasze zasady na stałym lądzie, gdy wam nie nie zagraża. Ażeby was wyleczyć, chciałbym was widzieć na pokładzie okrętu, podczas szalonej burzy morskiej, gdy kilka cienkich desek dzieli was od tej wieczności, w którą na lądzie nie chcieliście wierzyć. Gdy okręt na falach buja jak szalony, gdy wichry rwie żagle i maszty łamie i żeglarze sami już głowy tracą.... O! wiercie mi, na tym okręcie już ateuszów nie ma! Wszyscy padają na kolana i modlą się do tego Boga, którego się niegdyś zapierali, i na stałym lądzie w Niego wierzyć nie chcieli. W takiej to chwili chciałbym widzieć na pokładzie okrętu zgromadzonych wszystkich ateuszów, byłoby to z pożytkiem dla nich i dla tej części ludzkości, która za ich nauką, po ich błędnych drogach kroczy.

Dziś, gdy po śniadaniu, cała nasza polska kolonia wylęgła na pokład statku, zbliżył się do mnie jakiś nieznajomy i poprosił po angielsku o pozwolenie zapalenia sobie cygara o moją płonącą cygarete. Ta okoliczność stała się powodem chwilowej znajomości, która się między nami zawiązała. Jestto urzędnik angielski, zamieszkały od lat siedmiu w Port Natal, i zapalony myśliwy. Niewładając żadnym innym językiem tylko angielskim, nudził się na pokładzie francuskiego statku, jakby karał w gitarze, ucieszył się też bardzo, że choć jedną znalazł żyjącą istotę, z którą się mógł „*tant bien que mal*“ rozmówić. Zawiązała się więc między nami pogadanka, oczywiście myśliwska, i ta bardzo mnie zajęła. Anglicy nie są blagierami, to rzecz wiadoma. Zresztą postawmy sobie raz śmiało to pytanie: Co jest blaga wedle pojęć naszego zbyt pozytywnego świata? Mówicie: Chcemy prawdy! Precz z blagą! Chętnie się na to zgadzam, tylko raczcie mi też odpowiedzieć na pytanie, wy wieley prawdy lubowniey, wy ludzie pozytywni:



Czy wszystko co was otacza, czy wszystko co robicie i na co patrzycie, czy słowem życie wasze całe nie jest jedną, jednostajną blagą? Czyż blagą nie są wasze illuzye, któremi się oiaśle otaczacie, a z których was ten siłą porywany pozytywizm nawet wyleczyć niemoże? Czyż blagą nie są wszystkie romanse i powieści, które tak skwapliwie czytacie? Czyż blagą nie są nawet wszystkie dramata, komedye i operetki, na które uczęszczacie z takim zapalem, a których prawdą jest chyba tylko ten grosz, który przechodzi z kieszeni naszych do kieszeni śpiewaczek, które was złudzić potrafiły? Wszystko w tym świecie jest blagą, jeśli chcecie, niewykluczając nawet poezyi, bo w niej bezwzględnej prawdy nie ma, a jeśli jest, to jest ukrytą i jasną w swem ukryciu tylko dla duchów wyższych. Jestto nowożytny sposób pozowania na mędra, nader wygodny i często popłacający — przywdzianie płaszczyka pozytywizmu i frazes na ustach: To nieprawda! To blaga! Ja temu niewierzę! Sposób to zręczny i nieomylny. Cóż jest łatwiejszego jak niewierzyć w to, czego się nie wie lub nierozumie? I wy właśnie, przeważnie młodsze dziatki naszego wieku, którzy niemoc waszego ducha ukryć chcecie sami przed sobą nieraz pod tymi zużyтыми frazesami: To blaga! Ja temu niewierzę! czemuż w życiu waszem całem jesteście ciągle ofiarą najfatalniejszej w świecie blagi, udając brak ducha i serca? Bo ja w to wierzę, i z głębokiego mówię przekonania: jesteście lepsi niż się wydawać chcecie. Możecie powiedzieć śmiało, jak Marya Stuart: „*Ich bin besser, als mein Ruf!*“ — Tak jest, duch życia w was jeszcze, i wasze serca biją, tylko modny dziś pozytywizm nakazuje wam, byście się wstydzili każdego objawu tego ducha, dla tego to życie wasze całe jest tak niesmaczną blagą. Wracam do mego Anglika. Może być, że blagował, ale to mi obojętne, skorom się jego rozmową tak ubawił, jak gdybym czytał najbardziej zajmującą blagę Dumasa lub Verne'a, lub był na przedstawieniu jakiej najnowszej komedyi pp. Sardou lub Labiche. Mój Anglik więc od lat siedmiu mieszka w Port Natal i poluje tam zawzięcie na wszystko, co mu pod lufę wpadnie. Zabił już 4 lwy ze sztucą *express* z fabryki Charles Lancaster w Londynie, kulami pękającymi, i każdy lew w strzale padł na miejscu. Niebezpieczeństwa tego polowania on też wcale nie pojmuję, jeśli strzelec ma zimną krew, dobrą broń i strzela pękającymi kulami. Panterę uważa za zwierza trwożliwego, uciekającego przed psami, i broniącego się tylko w ostatniej konieczności, ale nie atakującego nigdy strzelca, a więc i to polowanie, wedle jego przekonania z żadnem niebezpieczeństwem połączonem nie jest. Żyrafy strzelał z konia, podjeżdżając je czasem nawet na bardzo bliską metę, każda padała na miejscu od kuli jego *expressa*. Jedno tylko polowanie na dzikie bawoły uważa za istotnie niebezpieczne, gdyż ten zwierz przez psy ścigany, a niezabity na miejscu, z wściekłością się rzuca na myśliwego i walka z nim niemożliwa. Mój Anglik, jak mi opowiadał, znajdował się już między rogami dwóch bawołów i celnym strzałem kolegów swoich winien ocalenie. Ponieważ dość jest otyłym, położenie jego między rogami oba razy musiało być dość krytyczne. Żartobliwie zwróciłem na to jego uwagę, ale mi na to odparł, iż to się stało przed kilku laty gdy był jeszcze bardzo szczupłym. „Gdyby mnie przy dzisiejszej mojej tuszy podobna przygoda była spotkała, nieżyłbym już z pewnością“, — dodał z prawdziwie angielskim spokojem.

O zachodzie słońca wpłynęliśmy do Smirniańskiej zatoki. Smirna miłe sprawia wrażenie, port jej bardzo obszerny, wysokim murem zamknięty, przypomina Triest, ale jest o wiele piękniejszy. Zdaje się, iż się jest w europejskim mieście.

Czyste, schludne a nawet okazałe kamienice, ale w oryginalnym stylu, długim szeregiem opasują bardzo porządnie wybrukowane szerokie ulice nad portem, flagi wszelkich barw powiewają na statkach: istna Europa, przeniesiona pod cudne południowe niebo. Przykre mi to zrobiło wrażenie po chwili, wszakże nie Europę przyjechałem widzieć na Wschodzie. Wkrótce jednak to wrażenie rozgonił widok ludności tamtejszej, w najrozmaitszych jaskrawych i malowniczych strojach wschodnich. Bardzo pięknie wyglądają snujące się ustawicznie nad portem wielbłądzie karawany, a do szyi wielbłądów upięte dzwonki o najrozmaitszych tonach tworzą bardzo miłą i dźwięczną harmoniję. Jestto nieustająca orkiestra Smirniańskiego portu. Na czele takiej karawany Turek w turbanie, często w wyszarżanym, ale zawsze malowniczym stroju jedzie na osiołku, a ten osiołek jest wodzem wyprawy. Do niego przywiązane na długich postronkach kroczy jeden za drugim szereg kilkunastu a czasem kilkudziesięciu wielbłądów obciążonych i obarczonych ciężarami rozmaitymi, jakby szlachcie galicyjski podatkami. Te biedne zwierzęta kroczą nadzwyczaj wolnym krokiem, jakby na pół senne, z wyrazem rezygnacyi i oglupienia, istne wyobraźciele biernych niewolników, a osiołek ich wszystkich wiedzie. Podobny widok przedstawia się nieraz oczom naszym i w Europie, że osioł liczne zastępy za sobą prowadzi, i wszyscy go słuchają i za nim idą jakby Smirniańskie wielbłądy. *Tout comme chez nous.*

W Smirnie gubernatorem jest Midhat Pasza, pierwszy a może jedyny dziś mąż stanu na Wschodzie, a znany przyjaciel Polaków. Zdawna było mojem życzeniem poznać tę znakomitą osobistość, a że to dawny przyjaciel i znajomy naszego wodza Kara Audzi, skorzystałem z tej sposobności, ażeby pod jego skrzydłami poznać Midhata. Przyznać się muszę do tej słabości, że lubo widok najwyższych dygnitarzy świata, ani monarchów nawet żadnego na mnie nie czyni wrażenia, to jednak widok ludzi wielkich, którzy czy to orężem, czy piórem czy w jakikolwiek inny sposób sławę sobie w świecie zdobyli, oczarowuje mnie zupełnie, i blask ich aureoli zaślepią mój wzrok. Z bijącym sercem oczekiwałem więc chwili, w której będę mógł się dostać do pałacu gubernatora Smirny. Audyencyę wyznaczono nam na godzinę 12tą. Pałac gubernatorski w Smirnie, jak go tu nazywają Konak, jestto gmach wspaniały, ale w europejskim stylu. Wewnątrz ma charakter orientalny, olbrzymie marmurowe wschody, sień wielka marmurowa ozdobiona pysznymi rzezbami, w niej dzień i noc stoją na straży gwardye przyboczne gubernatora, wszędzie nad drzwiami zawieszane bogate perskie dywany. Przyjął nas naprzód pierwszy sekretarz gubernatora Wassyf-Effendi, europejczyk, człowiek nadzwyczaj przyjemny i wykształcony. Z niecierpliwości serce mi biło gwałtownie, tak oczekiwałem chwili, w której będziemy mogli się przedstawić gubernatorowi. Zaproszono nas nareszcie do audyencyonalnej sali. Midhat-Pasza jest to człowiek w sile wieku jeszcze, ale na twarzy jego wyrte są ślady cierpień i znużenia. Przyjął nas nie z zimną, sztywną grzecznością europejską, charakteryzującą zazwyczaj u nas mężów stanu, którzy się przypadkowo i niespodziewanie na taką posadę wzbili, ale z uprzejmością, która widocznie z serca płynęła, i która zdradzała człowieka przywykłego do życia w sferach najwyższych społeczeństwa, i prawdziwie wielkiego pana. W długiej rozmowie rozbieraliśmy bardzo wyczerpująco przebieg rozmaitych spraw bieżących, i nadziwić się nie mogłem dokładnej i gruntownej znajomości jego co do stosunków naszych krajowych, w bardzo nawet drobnych szczegółach.



Treść naszej rozmowy nie wchodzi wcale w zakres pamiętników myśliwskich, dla tego o niej dla wielu powodów zamilczeć muszę, z przyjemnością jednak zauważałem, jaką przyjaźnią Midhat-Pasza otacza naszego kochanego wieszeza Karola Brzozowskiego, i z jakim uwielbieniem wspominał księcia Adama Sapiechę, którego poznał za granicą. Gubernator najserdeczniej mnie zapraszał, bym go odwiedził, i to na czas dłuższy, gdy będę powracał przez Smirnę, i ofiarował mi na pamiątkę swoją fotografię. Nieomieszkam się stawić na jego żądanie, jeśli tylko okoliczności na to pozwolą — takie było moje szczere postanowienie, i starałem się je później przywieść do skutku. Czyż mogłem się jednak wówczas tego spodziewać, że w trzy miesiące później, przejeżdżając przez Smirnę, zastanę ten sam pałac otoczony wojskiem, a tego samego Midhata, najpierwszego męża stanu na Wschodzie, pod zarzutem zdrady stanu, szukającego schronienia w konsulacie francuskim? Czyż mogłem się tego spodziewać, że liberalny, republikański rząd francuski nakaże swemu konsulowi, by wydał Midhata, który się oddał pod opiekę trójbarwnej francuskiej chorągwi?

Po tej mojej wizycie u Gubernatora, wyszedłem ze smutnem wrażeniem i pomyślałem o wierszu napisanym przez naszego wieszeza Kara Audzi, w poemacie: „Noc strzelców w Anatolii“:

Turecy! Turecy! — jesteś trupem,  
Ty kramarzów będziesz łupem.

Dezerercya w wojsku nie widziana: 150 dezerterów z bronią uciekło ze Smirny i teraz w górach żyją z rozboju. W Syryi wybuchnąć miały niepokoje między Druzami i Maronitami, ale te wieści nie miały żadnej podstawy. Gdyśmy wspomnieli gubernatorowi o naszym sułtańskim Firmanie, rzekł z uśmiechem: „To ostrożność zbyt duża, która panom tylko nie potrzebnego narobi kłopotu. Zaręczam, że przez całą Syryę wszczem i wzduż tak bezpiecznie przejść możecie, jakby w południe przez ulice Wiednia, Berlina i Paryża“.

Przekonaliśmy się później, że Midhat zupełną miał słuszność. Towarzysze nasi zwidzali miasto i mnóstwo nakupili drobnostek w bazarze, mnie zaś wizyta u Midhata zajęła cały ranek i miasta wcale nie widziałem, czego wszelakoż bynajmniej nie żałuję.

O godzinie 4tej wypłynęliśmy ze Smirny na pokładzie trzymasztowego francuskiego statku: „Scamandre“, na którym zastaliśmy wygodę i komfort niezwykły. Cóż za różnica z nędznym, chwiejącym się ciągle Lloydem austriackim, który nas wiozł z Warny do Konstantynopola! Morze pod wieczór zaczęło być niespokojne. Przypadłości owe, którym podlegają często na morzu ludzie stałego lądu, niewiem dla czego nazwano: „płynąć do Rygi“. Jestto wyraz utarty, i między nami stał się niesłychanie popularnym w ciągu naszej wyprawy. Otóż wszyscy byliśmy na to przygotowani, widząc tak wzburzone morze, że w ciągu nocy taką odbędziemy żeglugę. Jednak statek nasz, jakby sam Neptun po wzburzonych falach, niby tryumfator, całą noc leciał, i choć kołysanka była dość silną, nasza kolonia polska dzielnie się trzymała, dwóch tylko naszych towarzyszy znowu po drodze popłynęło do Rygi, i to nie ci, którzy już tę podróż odbyli między Warną a Konstantynopolem. Ja nie podlegałem nigdy dotąd tej dolegliwości, ale się nie zarzekam wcale, droga do Rygi czasem niedaleka,

na morzu nikt wiedzieć nie może, kiedy tam zapłynie. Na pokładzie wielka ilość Turków, Greków i Czerkiesów odbywała tę podróż przez noc całą, i nieestetyczne dźwięki nad naszymi głowami ustawicznie nasz sen niepokoiły. Dziwna rzecz, że ci

ludzie tak przywykli do morskiej podróży, tej chorobie tak często podpadają.

O wschodzie słońca byliśmy na Egejskim morzu i wyspy skaliste Archipelagu greckiego na prawo wzbijały się stromo z morskiej kąpieli, po lewej ponure skały wybrzeża Azji Mniejszej przypominają szczyty Tatrzańskie. Rzekłbyś, że ktoś szczyty Łomnicy, Zawratu lub Krywania tu osadził na morzu. Około południa przypłynęliśmy do wyspy Rhodos, i nasza piękna Scamandra majestatycznie zawinęła do miastowego portu. Pierwsze tu ujrzelśmy palmy wspaniałe w miejskich ogrodach. Stare, bardzo już dziś uszkodzone fortyfikacye w morzu skąpane, zakończone szarym ponurym murem, jakby wiankiem port opasują.

Roje łódek podpłynęły do statku i różnobarwne, krzykliwe zastępy kupieckie, z najrozmaitszymi towarami i z żywnością różną, zaległy cały pokład naszego statku. Głównym przedmiotem przemysłu tamtejszego są wyroby bukszpanowe w rozmaity sposób rzeźbione i perłową macią i muszelkami przyozdobione. Nakupiliśmy wiele tych drobiazgów, które stosunkowo, bardzo są tanie. Ponieważ statek trzy godzin blisko zatrzymuje się w tutejszej zatoce, kilku z naszych towarzyszy udało się do miasta, by zwidzieć zwaliska starego zamku należącego niegdyś do Kawalerów Maltańskich, i wynaleść ślady po sławnym Kolosie Rodyjskim, których niestety nikt jeszcze dotąd odszukać nie umiał. Niektórzy nawet nowożytni badacze śmia twierdzić, że ten Kolos nie istniał nigdy. Jestto sposób najwygodniejszy, poprostu zaprzeczyć istnieniu rzeczy, której się zbadać nie umie. Morze było niespokojne i łódka tak z naszymi kolegami po falach bujać poczęła, że zaledwo, zamiast do portu w Rhodos, nie zapłynęli na tej łódce aż do Rygi. Ja pozostałem na statku, by narysować nęcącą mnie bardzo pięknymi kształtami zachodnią basztę fortu. Wieczorem popłynęliśmy dalej. Wiatr wschodni wiał zawzięcie, ale nasza wspaniała Scamandra leci i leci, niczem nie zachwiana, jakby gondola na spokojnych weneckich lagunach. Wcale ona niepodobna do zbyt wesołej niemieckiej Niobe, która na spokojnem morzu nawet całą noc, choć bez muzyki, tańczy swego Laendlera. Noc zapadła, a wicher szalał ciągle. Na pokładzie nie można było dosiedzieć, bo wiatr wszystkich z nóg walił, i mokre bałwany dolatywały aż do nas co chwili, nie pożądaną darząc nas kąpielą, zesłaliśmy więc do gniazd naszych. Morfeusz za chwilę całą polską kolonię porwał w swe objęcia, i starał się ją ochronić przed podróżą do Rygi, ale mu się to nie udało. Ja tylko, Kara Audzi i Kazimierz Drohojowski wyszliśmy obronną ręką z tej przygody.

Nadszedł i dzień ostatni naszej morskiej podróży, bo dziś w nocy stanąć mamy w Mersynie. Wiatr ustał, cudna pogoda, płyniemy swobodnie i wesoło, po lewej stronie widne wybrzeża Azji i góry okryte śniegiem, na prawo morze, i nie — nie na widnokręgu. Po śniadaniu wylęga jak zwykle na pokład cała nasza polska kolonja, i paliliśmy spokojnie cygarety z wybornego tureckiego tytoniu, gdy nagle jak grom spada wieść pośród nas, że się coś strasznego stało na statku, że kogoś z okrętu w morze wrzucono. „Un homme à la mer!“ Przestrach, gwałt ogólny! a wieść wyszła z szeregów muzułmańskich, licznie przedstawionych na naszym okręcie. W tłumaczeniu przyniósł ją nam Rudzki, najmilszy towarzysz podróży, ale turysta przybyły z Paryża, podróżujący po raz pierwszy po Wschodzie, i będący wiecznie pod wrażeniem opisu strasznych niebezpieczeństw, na które się tu jest narażonym. Nieznajomość języka do wielu nieporozumień doprowadzić może. Wieża Babel była tego dowodem. Kara Audzi dopiero rzecz wyjaśnił, zasięgnąwszy



języka u jednego z wyznawców Alkoranu, a naocznego świadka katastrofy. Otóż ta rzecz przełożona z języka Osmanów na język galicyjski tak się miała: Więziony w klatce siwy gołąbek, rodem z Marsylii, przeznaczony na pieczone dla podróżnych I. czy II. klasy naszego statku, szczęśliwie a raczej nieszczęśliwie umknąć zdołał ze swego więzienia, i chwilę szybując po nad okrętem, niewprawnem skrzydłem wyleciał po nad szumiące morskie fale. Białe mewy, tworzące naszą nieustanną i nieodstępną eskortę, z krzykiem i hałasem rzuciły się na francuskiego przybysza. Któżby uwierzył, że te miłe ptaszęta, pół-oswojone, chwytające bułkę, a nawet cygaretowe papierki z rąk naszych, tak niegodziwej oddadzą się piraterii? Biedny gołąbek upadł na morskie fale, i przez białą naszą eskortę w kawałki rozszarpanym został.

Nad wieczorem zerwał się znowu wiatr silny, po prawej ujrzeliśmy jakby w mgle wybrzeża wyspy Cypru, morze stało się nadzwyczaj hulaszczem i wesołem. Scamandra puściła się już na dobre w płasy, byłbym chciał widzieć Niobe w tych warunkach. Jakaś niemoc opanowała większość naszej polskiej kolonii. Dwóch naszych towarzyszy, cheiwyh komfortu i wykwintniejszej kuchni, z drugiej klasy, którą płynęła nasza Polonia, przeniesła się do I. klasy i dopłacili za to 160 franków. Nie widziałem w życiu jeszcze gorzej umieszczonych pieniędzy. Ta nowo kreowana Izba Panów naszej wyprawy, wstrzymać się musiała od obiadu w I. klasie, w skutek kołysanki Scamandry, zaś Izba Niższa, niepodlegająca chorobie morskiej, z apetytem zjadła w II. klasie obiad, który był wybornym. Wszystkich wreszcie między Rygą a Morfeuszem noc czarnymi swojemi skrzydłami osłoniła. Ja i Kara Audzi przepędziliśmy część nocy w miłej gawędzie na pokładzie statku, i przypatrywaliśmy się fosforycznym iskrom, które jakby roje świętojańskich robaczków koło statku latały i w nurtach tonęły. Trzeci czuwał spokojnie Kazimierz Drohojowski, i tak z całej naszej załogi trzech nas tylko pozostało na straży sztandaru polskiego. — O północy zawitaliśmy do Mersyny, do ostatniego kresu naszej morskiej podróży, ale wylądować mogliśmy dopiero z rana. W Mersynie zajechaliśmy do gościnnego domu pana Geoffroy, konsula francuskiego, którego Kara Audzi, jako dawny dobry znajomy, zawiadomił telegraficznie o naszym przyjeździe. Zaproszono nas na śniadanie wyborne, i już czysto-wschodnie. Składało się ono z jaj na miękko, z ryb najrozmaitszych morskich, z mózgu w ptysiowym cieście, z gulaszu z ćwikłowych buraków, z ryżu z zielonym groszkiem ze słonią, z baraniny na zimno z zieloną sałatą, z kwaśnego mleka bawolego, i z wybornych kompotów, konfitur i innych słodczy. Pani Geoffroy, osoba bardzo przystojna i bardzo miła, młoda mężatka od roku dopiero tu przybyła, urodzona w Sabaudyi, z wdziękiem i elegancją francuską honory domu robiła.

Niezatrzymując się długo w Mersynie, udaliśmy się tegoż samego dnia w dalszą podróż do Adany, dokąd jeszcze 9 godzin jazdy powozem, a nocleg miał nam wypaść w miasteczku Tarsus. Jakież było nasze zdziwienie, gdy zajechały bryki pod rzeczy nasze i dwa prawdziwie europejskie powozy kryte, których budy spuszczone tworzyły z nich istne koczyki nasze spacerowe. Wsiadliśmy do powozów. Na północy sterczy pasmo gór Bulgar-Dagh, szczyty ich okryte śniegiem. Widać, że w tej części Azji nie ma rządów autonomicznych, jak w Galicyi, bo zastaliśmy gościniec wyborny, i wydawało nam się w naszym ekwipażu, że odbywamy spacer w Praterze. Z tego snu budził chyba widok woźnicy w turbanie i dzwonki wielbłądzych karawan, z którymi krzyżowaliśmy się co chwila. Śli-

czną jechaliśmy okolicą, żyzną doliną Mersyny, ciągle wzdłuż stoku gór Bulgar-Daghu.

W ciągu naszej podróży spotykaliśmy ciągle różnych podróżników, wybierających się do krajów, z których my właśnie przyjeżdżamy, i ci podróżnicy choć bez statków i bez kolei żelaznych, prędzej niż my, w nasze rodzinne zawitają strony. Są to liczne stada skowronków czajek i szpaków, ale najliczniejsze były stada gawronów, które jak czarne chmury po nad głowami naszymi krążyły i zalegały okoliczne pola. W niespełna dwóch godzinach zajechaliśmy do Tarsus. Dziwne to miasto, sławne z czasów Aleksandra Macedońskiego, Kleopatry i Antoniusza głębokie zrobić musi wrażenie. Wjeżdża się doń przez olbrzymią bramę, dziś już prawie w gruzach, a dźwigającą na swych barkach brzemień kilkudziesięciu wieków. Domy bez dachów i okien, otoczone ogrodami cyprysów, akacyi perskich, olbrzymich drzew pomarańczowych, cytrynowych i oliwnych. Kaktusy o dziwacznych kształtach, i rozmaite pnące rośliny wiją się w postaci dziwacznych festonów po starych, wyszarżanych murach. Z listem rekomendacyjnym p. Geoffroy zajechaliśmy do miejscowego proboszcza maronitańskiego. Przyjął nas, jak to zawsze na wschodzie bywa, z serdeczną gościnnością, i nadbiegła wnet mnogość arabskich dziatek chrześcijańskich, które tu pobierają naukę katechizmu. Przypatrywali się z ciekawością i nam i naszym przyborom myśliwskim, poznosili na wyścigi nasze rzeczy, i z największą uprzejmością i bezinteresownie usługiwali nam jakby kelnerzy paryskich hoteli. Nasz gospodarz, proboszcz mówił tylko po arabsku i po syryjsku, niebyła więc bardzo zajmująca między nami rozmowa, ale między uczniami jego znaleźliśmy tłumaczy, którzy wcale dobrze władali francuskim językiem. Mieszkają tu na probostwie dwaj Włosi. Jeden jest nauczycielem francuskiego języka, ale sam włada nim „comme une vache espagnole“, dla ludności Tarsusa widać że i to wystarcza, drugi jest lekarzem, ale zdaje mi się, że amatorem lekarzem tylko, bo ludność tutejsza jest zdrowa, chorób niezna, więc i amator lekarz wystarcza. Jestto zapamiętały myśliwy, posiadający zgraję psów legawych i innych, hodujący łaskawe czerwone kuropatwy, i opowiadający cuda o swoich myśliwskich wyprawach. Gdyby dziesiąta część tylko jego opowiadań mogła być prawdą, to w obec jego mistrzowskich strzałów powinniśmy na szczątki pokruszyć nasze iglicówki, lankastrówki i expresse, a słynny pogromca lwów Gerard, a nawet najpierwszy dziś w świecie strzelec Carver nie powinienby więcej do ręki brać palnej broni. Podano nam wieczrę, po której w dwóch pokojach proboszcza ułożyliśmy się do snu, i bylibyśmy spali wybornie, gdyby nie szczekanie psów myśliwskich naszego lekarza Włocha, a głośniejsze jeszcze chrapanie jednego z kolegów naszych. O świcie udaliśmy się do skromnego kościółka, w którym proboszcz odprawił nabożeństwo maronitańskie, którego liturgia wcale prawie się nie różni od łacińskiej. Pożegnaliśmy gościnnego gospodarza i otoczenie jego (o zapłacie żadnej oczywiście mowy nawet nie było), a wszyscy nas żegnali serdecznie, jakby dawnych przyjaciół tak, że wyjazd nasz był podobnym do tryumfального pochodu. Z okien domów kobiety rzucały bukiety przed nasze konie, a dziatki podawały nam kwiaty, głosząc serdeczne wyrazy i życzenia szczęśliwej podróży, wyrazy, których niestety nie mogliśmy zrozumieć. W taki to sposób europejszyk wyjeżdża z miasta na Wschodzie. Gdyby zaś mieszkawiec Wschodu przybył do naszej ucywilizowanej Europy, i zajechać musiał oczywiście do którego z hotelów naszych, pewnie odjeżdżając niezastałby bukietów rzucanych przez ludność na jego drodze, ale haniebnie odarty dążyćby musiał do nowego noclegu, gdzie



go nieomylnie los podobny znów spotka. A przecież my ustawicznie głosimy, że Europa tylko jest ucywilizowaną, a na Wschodzie dziec i barbarzyństwo.

Przejechawszy śliczne, żyzne doliny, na których towarzysze nasi od czasu do czasu strzelali bez skutku z powozu do orłów i sępów, o samem południu stanęliśmy w Adanie. Wielkie to jest miasto, liczące kilkanaście tysięcy mieszkańców, z bazarem i wielką ilością sklepów, ale tak ściśle orientalne, że żadnego w niem nie ma porządnego hotelu. Zajechaliśmy do przyjaciela naszego wodza Kara Audzi, pana Melhamé, Maronity-Araba, człowieka bardzo zamożnego i wykształconego. Tu gościnność arabska w najświetniejszej okazała się barwie, bo dom cały oddano nam niejako na własność, zastawiono suto śniadanie z potraw krajowych i na przemian europejskich i wyborne wino Bordeaux podano do stołu obok win krajowych. Po śniadaniu Kara Audzi udał się do gubernatora Adany, Abedin-Paszy, ex-ministra spraw zagranicznych i przedłożył mu nasz sultański Firman. Gubernator natychmiast stosowne wydał rozporządzenia i jutro o godzinie 11tej oczekuje nas z audycją. Mam zamiar się wstrzymać od zaszczytu oglądania gubernatora, który nie jest ani Midhatem, ani żadną słynną osobistością, a mając nadzieję zapolowania jutro, wolę oglądać kuropatwę lub frankolinę, niż jakiegokolwiek tuzinkowego tureckiego gubernatora. Nasz gospodarz zaprosił nas na wieczór na teatr turecki, na który dla nas zatrzymał trzy łóża. Obiad równie był obfity jak śniadanie, ale myśmy już pozostać musieli w postaci biernych widzów pomimo tego, iż gospodarz ciągle powtarzał nam arabskie przysłowie: „O tyle mnie kochasz, o ile jesz u mnie”. Obfite śniadanie zabiło obiad, i lubo wszyscy pokochaliśmy serdecznie gościnnego i miłego pana Melhamé, już obiadu jego jeść niebyliśmy wstanie, chociaż był wybornym. Wieczorem poszliśmy wszyscy na teatr. Gmach teatralny jest istnym gmachem zbudowanym na wzór naszych teatrów europejskich. Łóża są obszerne i wygodne, a w dodatku panuje tu swoboda nieznana u nas. Każdy w swej łóży palić może cygarete lub nargilie. Płec piękna niestety słabo jest reprezentowaną, na czem oczywiście wszelkie przedstawienie teatralne na uroku traci. W łóżach widny liczny wprawdzie zastęp dam, ale te wedle orientального zwyczaju swoje oblicza zakrywają zasłoną, a więc binokle stają się niepotrzebnym optycznym przyrządem na przedstawieniu sztuk tureckich. Orkiestra teatralna również słabo jest przedstawioną. Co grano, tego niewiem oczywiście, bo byłem zarówno na tureckim teatrze, i na tureckim kazaniu.

Dziś, 23 Lutego, czterech naszych towarzyszy z Kara Audzim na czele, udało się o godzinie 11tej z rana do gubernatora, który godzinę przedtem przysłał swego pułkownika, komendanta żandarmeryi do nas. Gubernator przyjął naszych towarzyszy bardzo uprzejmie i obiecał wszelką pomoc. Ja zaś z Rudzkim, z jego strzelcem, z Brzostowskim i dwoma przewodnikami udałem się wcześniej na łowy, pod przewodnictwem bardzo grzecznego Araba tu zamieszkałego, mówiącego wcale dobrze po francusku, ale wcale niemyśliwego. Gościnność arabska tak daleko sięga, że nawet nie myśliwy wszelkie trudy myśliwskie ponieść gotów, ażeby tylko swoich gości zabawić. Wystarał się on dla nas nawet o wyżelka w postaci suczki nazwanej: „Bella”, z którą i jej trzymiesięczne szczenię pobiegło. Tu wszelakoż wszelkie mieliśmy prawo powiedzieć: „Przyjmujemy chęć za uczynek”. Tę suczkę wyżłem nazwano, ale zdaje się, sądząc po jej kształtach, pradziad jej musiał być szakalem, a jej prababka — wiewiórką. Do żadnej wprawdzie zwierzyny nie stawała, ale za to każdego zająca i kuropatwę

ze sto kroków przynajmniej głosem goniła, a jej niemowle opuszczone zawsze przez ten czas wyło z rozpacz. Z takim taborem myśliwskim ruszyliśmy więc, jak chwiejne łódki na Ocean, na naszą pierwszą myśliwską wycieczkę. Byliśmy pierwszą straconą widetą naszej wyprawy. Po dwugodzinnym marszu z miasta Adany, przez rozległe błonia, rozgrzęzłe po świeżym wylewie, doszliśmy do wzgórza, na którym nasz wódz obiecywał nam frankoliny i czerwone kuropatwy. Te wzgórza okryte są niskimi, rzadkimi krzewami zwanymi: *paliurus aculeatus*. Jestto rodzaj tarniny z kolcami takimi, że kolce naszej tarniny ma się do jej kolca jak szpilka do brytnała. Biada ci myśliwce, jeśli cię ten krzew w swoje uchwyci objęcia! Siła jego przyciągająca tak jest silną, że się jej nie wydrzesz z pewnością. Często się to w życiu zdarza, że kolce, które w nas wbija jakaś droga sercu istota, jeszcze bardziej nas ku niej pociągają. To się zdaje sofizmem, a jednak jest prawdą. Gdzieś nawet czytałem zdanie, że niewiedzieć co w róży bardziej przyciąga, czy jej woni, która odurza, czy jej kolce, które wprawdzie ranią, ale trzymają zawzięcie. Tak i z tą krzewiną Syryjską. Myśliwego przyciąga kolcami i trzyma, a gdy zechce to często powtarzać, i wyrwie się jej gwałtownie, to biada jego szatom! Wyjdzie wypierzony jakby cietrzew w Lipcu, a może nakoniec być wziętym za świętego przez wyznawców Alkoranu. Pomiędzy tymi krzewami rosną krocie kwiatów, traw i krzewów, które bardzo często w naszych cieplarniach widywałem, ale które jako profan botanik nazwać nie umiem. Tyraliorską linią zaczęliśmy się posuwać, a Bella przed nami zaczęła udawać, że szuka zwierza. Upał bardzo nam zaczął dokuczać. Zając ruszyliśmy z kilkanaście i kilka przepiórek. Strzały zaczęły padać. Ja zabiłem dwie przepiórki i dwa zające, a Brzostowski zająca. Ruszono kilka frankolinów i czerwonych kuropatw, wszystkie uszły chybione. Przedemną żaden z tych szlachetnych ptaków się nie porwał i byłem w rozpacz. Gdyśmy wyszli na wzgórze, ujrzelśmy na przeciwnym stoku góry stadko składające się z dwudziestu kilku antylop, które ruszone widąc naszymi strzałami, oddalały się zwolna. Po dalszym pochodzie ujrzelśmy znowu trzy antylopy w dolinie. Nie mieliśmy środków, by na nie urządzać pogonkę porządną, a o podechodzeniu ich w tak otwartem polu mowy być nie mogło. Zaimprovizowaliśmy więc dziwaczne polowanie. Oto nasz uprzejmy Arab ze swym sługą, i nasi dwaj strzelcy mieli tworzyć pogonkę, a my rozstawiliśmy się we trzech na przeciwległym wzgórzu, w odległości oczywiście od siebie takiej, w jakiej stoją od siebie monitory na Oceanie. Skoro pogonka nasza ruszyła, ujrzałem uciekającego szakala, a za nim pomknęło stadko antylop przez miejsce nieobsadzone. Brzostowski strzelił do nich bez skutku na ogromną odległość. Odbyliśmy dalszy pochód polując na frankoliny i kuropatwy. Nad wieczorem dopiero zabiłem czerwoną kuropatwę, pierwszą w życiu. Rudzki zabił przepiórkę, a strzelec jego dwie przepiórki, i tak nasza stracona wideta wróciła do Adany z trzema zającami, 5 przepiórkami i jedną czerwoną kuropatwą.

24 Lutego. Raniutko całe nasze myśliwskie grono już było na nogach i wyruszyliśmy na łowy, wszyscy pieszo, z wyjątkiem Józefa Drohojowskiego, który jako Rotmistrz kawalerii ces. król. armii austriackiej, najał sobie arabskiego mierzyńka, by jak dragony Sadyka Paszy, pół konno a pół pieszo spełniać służbę myśliwską. Eskortę naszą tworzył oddział tureckich strzelców, którzy nam służyć mieli w potrzebie za pogonkę. Była to w istocie pogonka, o jakiej się z pewnością żadnemu z Nemrodów Europejskich nigdy nie śniło. Wszyscy w fezach, turbanach, z najrozmaitszą bronią palną i sieczną, niektórzy



z janczarkami długości spisu kozackich, inni z lichymi pojedynkami kapslowemi, z jataganami, kindżałami i pistoletami. Całość malownicza i nadzwyczaj oryginalna, to prawda, ale zachowaj Boże każdego myśliwego europejczyka od takiej pogonki! Turcy i Arabowie są to najgościnniejsze narody na świecie, ale gościnność ich kończy się z ich myśliwstwem. Tu każdy jest egoistą, o sobie tylko myśli, o sposobie przyjsia do strzału. O gościach zapomina wtedy zupełnie, i czyni to z pewną naiwnością, która wszelki gniew rozżoć musi. Doświadczyłem tego nieraz. I tak, wypatrzone antylopy, na któreśmy się rozstawili, nasi naganiacze wypłoszyli nam dwa razy, bo każdy z nich poprzednio na własną rękę chciał się pod nie podkraść, i tak nikt nie przyszedł do strzału. Na zwierzynę dziś zabita nasi Turcy i Arabowie wyłączny położyli monopol i bardzo mało europejczykom się dostało. Przybyły do nas przez gubernatora przysłany na dzielnym rumaku, wiekowy już Turek, pan Mehmed, sławny gracz dzirytowy, przez grzeczność obowiązywał się na nas zwierzynę napędzać. Bardzo to sympatyczna postać, jeździec znakomity i najlepsze okazywał chęci. A jestto Bej, człowiek bardzo bogaty. Bez broni, na swoim dzielnym rumaku hasał przed nami na pustyni, spędzał frankoliny, wypatrywał antylopy i nagonił na nas szakala, który zmęczony biegiem skrył się w gęsty krzak mirtowy i w nim się ostanowił. Działo się to o pareset kroków przed Kazimierzem Drohojowskim, który nim zdołał dobiec, już dwóch zbrojnych Turków go wyprzedziło, i ci dwaj zbyt zapaleni łowcy w krzaku siedzącego zwierza zamordowali. Niepowiodło się nam więc ani z antylopami ani z szakalami, tych ostatnich ruszyliśmy kilka, do jednego chybił Brzostowski, drugi pomknął przed Rudzkim, ale uszedł bez strzału. Z naszych zabił tylko Kazimierz Drohojowski dwa zające, a Brzostowski zajęcia i 10 skowronków syryjskich, większych od naszych, z czarnymi obwódkami u szyi, jak u synogarlic, a przez gastronomów uważanych za przysmak pierwszorzędnym. Prócz tego zabił on frankolina, a Rudzki zajęcia i frankolina, którego dla braku wyżła znaleźć niezdolał, zbarczył także czerwoną kuropatwę, którą uciekającą jakiś Turek dobił. Nasza poczeiwa Bella wcale nie chciała się zatrudniać wyszukiwaniem postrzelonej zwierzyny. Ja zabiłem jakąś ciekawą siwą sowę syryjską. Turcy nasi jeszcze zabili frankolina i przepiórkę. I tak dziś zabiliśmy ogółem: 1 szakala, 2 frankoliny, 1 kuropatwę czerwoną, 4 zajęcia, 1 przepiórkę, 1 sowę i 10 skowronków.

24 Lutego. — Całe nasze grono myśliwskie wyjechało konno na łowy. Nauczeni wczorajszym doświadczeniem zaprotestowaliśmy uroczysto przeciw organizacji tutejszej pogonki, i rozbiliśmy wszystkich reprezentantów Porty Otomańskiej, tak, że dwóm tylko Turkom palną broń zostawiono. Po dwogodzinnym pochodzie stanęliśmy na miejscu. Znaczną ilość ruszono frankolinów i kuropatw, co świadczy o niesłychanej ilości tych pierwszych ptaków, gdyż frankolin nawet przed doskonałym wyżłem nie chętnie się zrywa, a my z naszą pogonką polowaliśmy na niego na wydeptanego. Wiele strzelano, zabijano, chybiano, ale niestety najwięcej postrzelowano. Frankolin jestto ptak uznany jako najwyższy specjał przez gastronomów. Przekonał się o tem, ale ja jako myśliwy a nie gastronom znowu śmiało śmiem twierdzić, że to jest jeden z najmilszych strzałów, o jakim można zamarzyć. Bolesnie to pomyśleć, że taka ilość tych szlachetnych ptaków, przez nas postrzelonych, stała się łupem jastrzębi i szakali. A powodem tego jest u nas brak dobrego wyżła, bo nawet owa nasza suczka Bella ze swem niemowlęciem dziś się nie pojawiła.

Bracia moi w Nemrodzie! Prawdziwi polscy myśliwi, których już dziś tak mało, i z każdym rokiem co raz mniej będzie! Do was się odzywam! Przyjmijcie przyjacielską przestrożę. Gdyby was kiedy duch łowiecki paparł do przedsięwzięcia wyprawy podobnej do tej, którą myśmy teraz przedsięwzięli, niebiercie z sobą z kraju ani strzelców ani kamerdynerów, którzy wam będą tylko balastem niepotrzebnym, i na to się chyba przydadzą, aby gdzieś na stacyach wasze kuferki podróżne zagubić. Wiercie mi, że się staniecie tylko sługami sług waszych, niankami przywiezionych przez was dorosłych dzieci. Ale weźcie natomiast ze sobą choć jednego wyżła dobrego. Zapóźno przekonaliśmy się o prawdziwości tego twierdzenia! W podobnej wyprawie, pamiętaj o tem myśliwczu, że jeśli chcesz robić oszczędności, to jedź trzecią klasą na statku i kolejach, ale nie żałuj kosztów na przewóz dobrego wyżła, bo tego tu niedostaniesz. Kara Audzi zabił frankolina, Rudzki zajęcy parę, Józef Drohojowski i Kazimierz Drohojowski każdy czerwoną kuropatwę, Brzostowski zajęcy, a wszyscy prócz tego popostrzelowali wiele kuropatw i frankolinów, które pozostawili na pastwę szakalom. Już z południa część naszych towarzyszy strudzona upałem i pochodem wśród mirtowych zarośli, już do dalszych łowów niezdolną była. Z takim to kontyngentem myśliwskim mieliśmy naszą syryjską wyprawę dalej prowadzić! Znekani więc już z południa łowcy nasi, wsiedli na swoje rumaki i udali się na powrót do Adany. Podczas powrotu Józef Drohojowski napotkał spragnionego frankolina, który nad strumykiem jakimś szukał ochłody i tam go zastrzelił. Słońce było wysoko, a więc niestrudzona część towarzystwa postanowiła dalsze prowadzenie łowów. Pozostali nigdy nie strudzony nasz wódz Kara Audzi, Rudzki, strzelec jego, Brzostowski i ja, oraz dwóch Turków uzbrojonych. Jakaś fatalność zaciężyła nad nami, bośmy wpadli zaraz na najpiękniejszą siedzibę kuropatw i frankolinów, ale gorączka jakaś widoczna opanowała polskich strzelców. Strzelaliśmy tak, że się pewnie prorok w siódmym niebie z nas uśmieć musiał. Padło wprawdzie kilka sztuk zabitych naszymi strzałami, ale ta ustawiczna nasza strzelanina była istnym benefisem szakali. Wyżła! Gdybyśmy mieli wyżła! Na mnie od dwóch dni bogini Diana niełaskawa była, niepozwoliła mi ani razu przyjsć do strzału, teraz na chwilę odwróciła odemnie swoje groźne oblicze, zabiłem nareszeie frankolina pierwszego w życiu. Śliczny to ptak, upierzenie jego tak dziwaczne a harmonijne zarazem, na kruczej piersi jego systematycznie białe plamy, około szyi obrączka brunatna, \*z głowy podobny do jarząbka, a czarne oczy okolone białą obwódką. Grzbiet i ogon szaro-brunatny przypomina barwę słońkę, nogi i dziób jasno-żółte. Sam ptak przypomina kuropatwę i jarząbka, ale jest od nich nieco większy. Siedzibą jego są pustynie mirtem, dzikimi liliami i innymi krzewami zarosłe, przeważnie w pobliżu wód bieżących. Na żer wychodzić jednak lubi na pola, mianowicie na oziminy. Jestto jeden z najkapryśniejszych ptaków, jakiego widziałem, i ztąd też wynika głównie ów niesłychany urok polowania na niego. Żaden najwytrawniejszy nawet myśliwy przewidzieć i określić niezdola, gdzie i w jakiej porze frankolin siedzi, choćby nawet w okolicy, w której te ptaki jak najobficie się znajdują. Spotykałem też je na skałach i na piaskach, w gąszczach i na oziminach, w miejscowościach suchych i na głębokich wodach. Widywałem je czasem niesłychanie ostrożne, zrywające się przed myśliwym na taką odległość, że o strzale niemożna było myśleć, to znów dotrzymujące przed wyżłem, jak nasze leniwe chruściele. Najciekawsze polowanie na frankoliny jest niezawodnie na wiosnę, a to na tokujące koguty.



Spiew jego weselny równie jest głośny, jak wiosenny spiew cietrzewia, a odbywa się ustawicznie prawie przez dzień cały, ale najzawzięciej przed zachodem słońca. Wtedy myśliwy z dobrym wyłtem, idąc za głosem wysadzić musi koguta, jeśli za psem dość rącho postępuje, by mu się ptak nie porwał na zbyt wielką odległość. Frankolin, najponętniejszy ptak dla myśliwych i dla gastronomów, nieraz już wyłączną zwrócił na siebie uwagę i jednych i drugich. Nieraz próbowano go już oswoić, lub w inne sprowadzić okolice, wszelkie jednak usiłowania okazały się daremnymi, ten ptak bowiem pod żadnym warunkiem nie znosi niewoli, jest płochliwym, dzikim, podanego sobie nieprzyjmuje pokarmu, i zabija się ostatecznie zawsze o szczeble swojej klatki. Z jaja wychowany przez kurę lub kuropatwę, po kilku tygodniach ginie, pomimo najtroskliwszych starań. Rezultatem więc naszego dzisiejszego polowania były: 3 zające, 5 frankolinów, 3 kuropatwy czerwone, 2 jastrzębie i jedna sowa.

25 Lutego. — Znużenie i trudy wczorajszego polowania, które trwało wprawdzie do południa tylko, ubezwładniły już całkowicie naszych towarzyszy, i powstrzymały ich od dalszych łowów. Tak Adana stała się dla nich nową Capuą. Pod pozorem urządzenia i zgotowania obiadu, składającego się z samych polskich potraw, na cześć miłego naszego gospodarza, pana Melhamé, który nas w swym domu pomieścił i żywił z niewidzianą gościnnością, wszyscy pozostali w domu, i woleli przyjąć na siebie rolę kucharzy i kucharzy niż Nemrodów. Inni znów zaczęli sobie przygotowywać różne preparaty z głów i skrzydeł frankolinów i kuropatw, które później miały być wypchane, jako pamiątki naszej wyprawy. Dość, że ja tylko i Kara Audzi wyruszyliśmy na łowy w postaci kłusowników, jeśli taką nazwę zastosować można do jakiegokolwiek myśliwego w Azji. Nie! w kraju, w którym żadne prawa nie strzegą myślistwa, gdzie każdy strzelec jest wolnym jak okręt na oceanie, i żadnych nieznanych granic, co uświęcone jest z resztą jako obyczaj miejscowy, tam kłusownictwa nie ma, a jeśli są jacy, to chyba nimi jesteśmy my, strzelcy europejscy, którzy przyjeżdżamy tu polować, i wdzieramy się w prawa łowieckie wyznawców Alkoranu. A więc, my dwaj tylko z Kara Audżim, w towarzystwie jednego myśliwego Turka i dwóch ludzi, którzy strzedz mieli nasze konie, udaliśmy się na łowy. Wyprawa nasza tragi-komicznym rozpoczęła się epizodem. Turek, chociaż wcale nie myśliwy wedle pojęć naszych europejskich, jest, by się wyrazić po galicyjsku, lubownikiem namiętnym polowania, przy tem wytrwałości i cierpliwości bajecznej. Każda biegająca lub latająca istota jest dla niego zwierzyną, bo jest chciwym strzału do wszelkiego zwierza i ptaka. Doświadczyliśmy tego na naszym dzisiejszym towarzyszu. Przejeżdżając przez wielki cmentarz muzułmański za przedmieściami Adany, nasz Turek ujrzał tam kilka gawronów. Duch myśliwski tak dalece go zaślepił, że nie szanując pomników prapraojców swoich, nie mógł się powstrzymać, i z konia strzelił w hurmę czarnych ptaków. Rumak jego, widząc nieprzywykły do strzału pomknął przestraszony, i wierzgając aż pod obłoki, począł uciekać pomiędzy grobowce. Turek stracił równowagę nareszcie, siódło się usunęło, i w jednej chwili leżał w błocie na grobach swoich pradziadów. — Z potłuczoną nogą wskoczył znowu na swego rumaka i polował dalej z nami przez dzień cały, jak gdyby nigdy nie był leżał na pradziadów swoich grobie.

Na owej mirtowej pustyni ruszyliśmy znowu na wydeptanego mnóstwo frankolinów. Kara Audzi ruszył antylope, która pomknawszy na 100 kroków, długo przed nim nieruchomo stała; niemając jednak kuli przy sobie, wcale do niej nie

strzelał. Zabił on potem trzy frankoliny, ale na nieszczęście, niepodniósł żadnego. Dziś na mnie fortuna zbyt była łaskawą, gdyż cała zabita zwierzyna stała się wyłącznym moim monopolem. Ruszyłem trzy szakale, ale żaden z nich nie był na strzał. Przechodząc przez pagórki mirtami okryte, ujrzałem na skalistym stoku drugiego wzgórza siedzącego na skale zwierza, którego poznać z razu niezdolałem. Jadący koło mnie Turek na koniu też go spostrzegł i zaczął coś do mnie mówić po turecku. Ja dałem mu znak, by milczał i w miejscu pozostał, a sam, zakryty mirtowymi krzakami, począłem podchodzić zwierza, który widocznie zajęty był widokiem jeźdźcy. Udało mi się podejść go w ten sposób na odległość około 100 kroków. Wtedy zwierz mnie spostrzegł i zaczął umykać. Zawdzięczam dobroci strzelby systemu Teschnera z fabryki Wiśniowieckiego we Lwowie, że od pierwszego mego strzału piękny ten zwierz padł na miejscu na tak znaczną odległość. Kara Audzi patrzył na ten strzał i niechęcia własnym oczom wierzyć. Zwierz przezemnie zabity był to żbik: „*felis caligata*“ zupełnie odmienny od naszych żbików europejskich. Na tle perłowem czarno centkowany jak pantera, na przednich łapach ma czarne obrączki, zresztą z kształtów zupełnie podobny do naszego żbika. Piękna jego sukienkę mam zamiar zawieść z sobą do Europy. Prócz tego zabiłem jeszcze frankolina, czerwoną kuropatwę i zajacę, nad którego wielkością rozwodzili się Turcy, a ten w ich oczach olbrzym tak był wielkim, jakby nasz marczak w Lipcu. Zajac w Syrii o połowę jest mniejszym od europejskiego, ale za to jego mięso o wiele smaczniejsze, przypisać to należy wybornej tamtejszej paszy.

Dość wczesnie jeszcze z Kara Audżim, jak tryumfatorowie powróciliśmy na ów polski obiad zgotowany przez naszych kucharzy ochotników, i licznymi toastami uczciliśmy naszego nieocenionego gospodarza pana Melhamé. Jutro oczekujemy przyjazdu pana Artura Janowskiego, znanego badacza przyrody, zamieszkałego w Lattakii, który ma z nami dzielić dalsze przygody myśliwskie, a któremu burza na morzu przeszkodziła na czas przybyć do Mersyny, dziś dopiero rosyjskim statkiem ma tam przybyć.

26 Lutego. Niedziela. — Udaliśmy się na nabożeństwo do kościoła ormijańskiego, poczem na wezwanie naszego gospodarza poszliśmy w odwiedziny do tutejszego biskupa. Przyjął nas w sali obszernej, ale odznaczającej się anachoretycznym urządzeniem. Biskup jest w średnim wieku, nadzwyczaj pięknych, rzec można klasycznych rysów twarzy, form gładkich i bardzo wykształconych, po francusku mówi jakby paryżanin. Zadziwił mnie głęboką znajomością wszystkich stosunków europejskich i trafnością zapatrywań na obecny stan Turcyi. Po półgodzinnej wizycie u niego, powróciliśmy na śniadanie, jak zawsze obfite i bardzo urozmaicone najróżnorodniejszymi, nieznanymi nam wschodnimi przysmaczkami. Potem poszliśmy widzieć odbywające się tu co niedzieli igrzyska dzirytowe. Jeśli nasza stara Europa chwali się zamiłowaniem sportu, to zdaniem mojem sport prawdziwy, chociaż w innych formach, bardzo kwitnie na Wschodzie. Sportsman europejski wytrenowawszy dobrze swego biednego angielskiego konia, przemieniwszy w sztuczny sposób to nieszczęsne zwierzę w szkielet pokryty skórą, zmieniwszy tak jego estetyczne kształty, wsadza nań dzokieję w stroju, któryby chyba małpie mógł być do twarzy. Z trybuny przypatruje się przez binokle, jak to przez niego przekształcone zwierzę o długość czasem kilku cali wyprzedza swego współzawodnika. Te kilka cali różnicy przynoszą czasem właścicielowi konia znaczne zyski pieniężne. I to jest sport? Nie — to jest gra giełdowa, tylko w innej formie. My, zaro-



zumiali Europejczycy, twierdzić śmiemy, iż Arabowie nie umieją konno jeździć, bo nie jeżdżą wedle naszych sportsmańskich teorii. Kto widział grę dżirytów, tę sprężystość i zwinność i koni i jeźdźców, tę ich dzielność, zręczność i odwagę, ten do innego musi dojść przekonania, jeśli go tylko zarożumiałość nazbyt nie zaślepia. Przepraszam dzisiejszych naszych sportsmanów, jeśli śmiem wypowiedzieć zdanie, że oni swoje konie niejako tylko platonicznie miłują, wiele o nich mówią i rozprawiają, ale mało na nich jeżdżą. Radbym ich widzieć w takiej grze dżirytów, ileżby to koni bez jeźdźców po błoniach bujało!... Smutno powiedzieć, ale nasi sportsmani terazniejsi najodważniej i najsilniej dziś siedzą na fotelach w łoży kasynowej lub przy stoliku kwindecza. Jakże różnym od tego sportu, jest sport na Wschodzie! Igrzyska dżirytowe są jednym z najciekawszych widowisk, jakie mi się widzieć zdarzyło. Na obszernych błoniach piaszczystych nad rzeką Syhan, tuż za miastem, liczne tłumy w jaskrawych, malowniczych strojach otaczają arenę do koła. Muzyka arcyoryginalna, bo składająca się z bębna i piszczałki odzywa się i wydaje tony dzikie i przeraźliwe, bez śladu jakiegokolwiek melodyi. Na dzielnych rumakach, w malowniczych strojach Wschodu, wyjeżdżają jeźdźcy i rozpoczynają igrzysko, każdy trzyma w ręku tępy dżiryt. Dzielą się na dwa obozy, i kolejno wyjeżdżają ku sobie, wyzywając się wzajemnie. Wyzwanie takie odbywa się rzuceniem dżiryta, który ma trafić konia lub jeźdźcę, a wtedy jeździec ugodzony puszcza się w pogoń za uciekającym już w pełnym pędzie przeciwnikiem i rzuca w tym pędzie dżiryt na niego. Najważniejszym jest wtedy zadaniem zręcznie umknąć przed pociskiem, lub co najtrudniejsze lećący dżiryt w rękę uchwycić. W ten sposób tworzy się karuzel tak piękny, tak zajmujący, że męsknił za ołówkiem Juliusza Kossaka, któryby z pewnością z podobnego obrazu arcydzieło utworzył. Prym wodził w tej rycerskiej rozrywce nasz przyjaciel i towarzysz myśliwy Mehmet, ten sam, który na nas nagał antylopy i szakale. W żółtym kaftanie i turbanie białym, na dzielnym kasztanowatym ogierze, dawał dowody niezwykłej zręczności. W pełnym pędzie swego wiatronogiego rumaka, rzucał na ogromną odległość dżirytem i prawie zawsze trafił uciekającego przeciwnika. Sam widziałem jak z rzędu trzy na niego rzucone dżiryty w pełnym pędzie w powietrzu ręką uchwycił. Radziłbym naszym europejskim sportsmanom, by takiego spróbowali sportu. Ten Turek, choć bardzo zamożny i już wiekowy, a jeździec znakomity, pewnieby dżokiejów na swoje konie nie wsadzał, ażeby oni za niego jeździli. On jest takim jeźdźcą, jak ten, o którym wieszcz powiedział, że:

Koń i jeździec — jedna dzika dusza. —

Te igrzyska dżirytowe są już od wieków tradycyjną zabawą Muzułmanów. Tam młodzież nabiera hartu, ćwiczy się w konnej jeździe i oswaja się z niebezpieczeństwem. A niebezpieczeństwo jest istotne, bo dżiryt choć tępy, ale nieszczerliwie silną ręką rzucony, może na miejscu zabić przeciwnika, co się tu często zdarza. A jednak tak silne jest tu zamiłowanie do tej zabawy narodowej, tak silnie tkwi w narodzie przechowana o tem tradycja, że w razie podobnego nieszczerliwego wypadku, rząd krajowy nie ma prawa ścigać winowajcy, a co więcej rodzina ofiary najmniejszej nie żywi niechęci do sprawcy mimowolnego nieszczęścia.

Podczas obiadu przybył pan Artur Janowski z panem Mazouillet, drogmanem naszym, Francuzem zamieszkałym w Lattakii, a synem tamtejszego niegdyś francuskiego konsula.

Pan Janowski znanym jest badaczem przyrody na Wschodzie, dostarczającym ciekawych okazów z dziedziny fauny i ornitologii do pierwszych muzeów europejskich. Głęboko uczony w tej wiedzy, jest fanatykiem swego zawodu, a zdobi go, jak to zazwyczaj u ludzi prawdziwych zasług bywa, niesłychana skromność. Jestto cichy pracownik, o którego zasługach więcej wiedzą inni niżli on sam. zamiłowany w swej nauce i wiedzy, zawsze gotów nawet z ust profana chwytać w lot spostrzeżenia różne, tyjące się jego zawodu, niestając nigdy z dumą na piedestalu swojej wiedzy, by strącać z niego garnących się tam, nauki checiwych, owych profanów. Widziałem liczne podziękowania przysyłane mu z wszystkich prawie pierwszych muzeów europejskich, bądź to za przysyłane okazy, bądź to za udzielane objaśnienia, a szlachetny ten nasz ziomek, ofiara burz naszych i zawieruch politycznych, nigdy się nie wzbilił w niepotrzebną dumę, i na zawsze pozostał cichym i skromnym pracownikiem. Towarzysz jego pan Mazouillet, który przybył do nas w postaci drogmana, bo włada doskonale tureckim i arabskim językiem, jest jedną z najpocieszuńszych postaci, jakie mi się kiedykolwiek udało spotkać. Jest, jakieśmy to mówili synem exkonsula francuskiego w Lattakii. Odziedziczył po ojcu znaczny majątek, który w ciągu roku jako nieodrodne dziecko nadsekwańskie przy zielonym stoliku zlikwidował. Teraz pozostała mu tylko piękna kamienica w Lattakii, mniej piękna żona, troje dzieci i niezem nie ugaszone pragnienie. Dla tych to powodów przyjął na siebie urząd drogmana i jest tłumaczem przybywających tu Europejczyków, co go stawia w możności czasem zaspokoić głód swej rodziny a czasem i własne pragnienie. Jak się później przekonać mogłem, pan Mazouillet jest człowiekiem nieposzlakowanej uczciwości, czego mi dowody przytaczali mieszkańcy Lattakii, którzy go od dzieciństwa znają. Największe skarby naślepo powierzyć jemu można, z wyjątkiem butelki koniaku, gdyż tego rodzaju pokusa przewyższa jego siły i zasady. Pracuje w postaci drogmana biedny ten niegdyś zamożny człowiek, ażeby wyżywić swoją głodną rodzinę a po części ażeby ugasić palące go ciągle pragnienie, we mnie jednak wzbudził współczucie. Z powierchowności jest to jedna z najśmieszniejszych postaci, jakie się widuje. Klęski rozmaite zniżyły go do roli trefnisia, do roli, która mu czasem jakiś grosz przynosi, grosz, który ma wyżywić może jego żonę i dzieci. Gdy jest trzeźwym (co się wszelakoż rzadko zdarza), jestto człowiek inteligentny i z sercem. Udało mi się w chwilach takich obaczyć łzę w jego oku i jasny pogląd na rolę, którą dla dobra swej rodziny odgrywać musi. Z tego to powodu nie umiałem być nigdy uczestnikiem owych znęcań, które sobie inni względem niego pozwalali, korzystając z jego położenia zależnego, lub niezbyt trzeźwego stanu. Wyśmiewanie się z tego biednego człowieka i dokuczanie jemu uważałem zawsze za czyn nieszlachetny, za niegodziwe nadużywanie chwilowej jakiegś swojej nad nim władzy. Zawsze utrzymuję, iż należałoby w ten sposób zmienić nasze przysłowie: „Na pochyłe drzewo nie kozy, ale tylko capy skaczą“.

Podczas niebytności naszej w domu biskup ormiański przybył, by nas pożegnać, niezwykle to dowód uprzejmości od kogoś stojącego tak wysoko w hierarchii kościelnej. Mieliśmy też wizytę pułkownika żandarmerii przysłanego nam przez gubernatora, a później oficera, który nas ma eskortować do Alexandretty, a który przybył po nasze rozkazy. Niechże teraz kto zaprzeczy, że pod względem grzeczności i uprzejmości barbarzyński Wschód nie zostawił naszego cywilizowanego Zachodu daleko za sobą.



Wielka dziś zaszła zmiana w dalszych naszych projektach i program całej naszej wyprawy zupełnie uległ przekształceniu. Mieliliśmy zamiar udać się z Adany aż na szczyty pasma gór Bulgar-Dagh, i tam przez kilkanaście dni polować na niedźwiedzie, koziorożce i muflony, a potem przedrzeć się, polując ciągle, przez łańcuch gór Giaur-dagh i wyjść na dolinę Akbesu. Na nieszczęście w wilią wyjazdu z Adany, trzech kolegów nasi, obaj bracia Drohojowsey i Rudzki, którzy tylko jako turyści a nie jako myśliwi przyłączyli się do naszej wyprawy, oświadczyli nam bardzo stanowczo, iż się już nie czują na siłach do ponoszenia dalszych trudów myśliwskich i pragną przyszyłym statkiem odpłynąć z Alexandretty. Lubo szczerzy żal uczuliśmy z powodu utraty miłych i najlepszych w podróży kolegów, dziwić się temu niemogliśmy wcale. Ludzie otoczeni zawsze wszelkimi wygodkami, które się stały już dla nich potrzebą życia, nieprzywykli ani do trudu, ani do forsownego chodu ni konnej jazdy, a do tego wcale nie zamięłowani w myśliwstwie, nigdy niebyliby wstanie wydolać i znieść trudów górskiej wyprawy. Śród spokojnego kilkodniowego pobytu naszego w Adanie, skąd tylko drobne i nie męczące urządzaliśmy wycieczki, kilka-godzinne nawet polowanie już było nad ich siły, i tylko z wrodzonej uprzejmości ponosili je przez wzgląd na nas, lubo każde myśliwskie niepowodzenie demoralizowało ich od razu, jakto zawsze u niemyśliwych bywa. Uwzględniając to jak najchętniej, uczyniliśmy ofiarę z naszych projektów jazdy w Bulgar-dagh, ażeby mieć przyjemność spędzić kilka dni dłużej jeszcze z miłymi kolegami, którzy z rzeczywistej konieczności nas opuszczać musieli już przed rozpoczęciem polowań naszych, gdyż nasza cała wyprawa była dla nich istną ofiarą a nie przyjemnością.

27 Lutego pożegnaliśmy serdecznie naszego najgościnniejszego i najprzyjemniejszego gospodarza pana Melhamé i liczną karawaną składającą się z 18 koni, eskortowani przez oficera żandarmeryi i rządowego Kawasa, opuściliśmy Adanę. Dzień był prześliczny, gorący jak nasze dnie Lipcowe. Zawoje, któreśmy wszyscy na podróż przywdziali, strzegły nas od zbytniego upału. Nieoceniony to wynalazek i niezbędny w tym klimacie, każde inne okrycie głowy naraża na reumatyzm lub uderzenie promieni słońca, co tu bardzo często śmierć sprowadza. Malowniczo wyglądała nasza karawana, lubo wynajęte nam konie z Adany nie pochodziły pewnie ze słynnej rasy Nedjdi, ani od żadnej z owych kłaczy, któremi Mahomet pojechał do nieba, bo się wlokły wolno, jakby osiołki, a jazda na siodle tureckiem jest dla jeźdźcy europejskiego torturą, która niewiem dla czego uszła uwadze Wielkiej Inkwizycji. Jechaliśmy długo pustynią w kierunku gór Giaur-dagh i ujrzeliśmy wiele stad pasących się antylop po obu stronach naszej drogi. Urządziliśmy konną pogonkę na jedno stadko, ale plan się nie powiódł, bo na nagim stepie strzelcy znaleźć niemogli dostatecznego schronienia, i te przezorne zwierzęta wypatrzyły nasze stanowiska i w przeciwną uderzyły stronę. W ogóle polowanie na antylopy do najtrudniejszych zaliczyć muszę, prawie nigdy pogonką niedadzą się wygnać na strzelców, czasem tylko w gęstych zaroślach zejść się dadzą i na możliwą odległość pomykają, co się wszelakoż bardzo rzadko zdarza. Dążyliśmy na nocleg do wioski Missis, a więc trzeba było pomyśleć o żywności. Opuściliśmy nasze konie i wyciągniętą tyralierską linią weszliśmy w zarośla mirtowe i karłowatą koleczastą dębinię. „Blecza“ czarna wyżlica Kara Audzi, przybyła z Lattakii, była jedynym naszym psem, a ta suczka bardzo ma dobre chęci, ale nos nieszczęśliwy, frankolin i kuropatwa były jej zupełnie obojętne, jednego tylko zająca namiętnie gonić lubiła. Ja ru-

szylem zaraz odyńca, do którego nie strzelałem mając tylko śrótówkę w ręku, potem pomknął szakał przedemną i znikł w zaroślach mirtowych, strzał był niemożliwy. Zabiłem dwie kuropatwy czerwone, Hulimka dwa frankoliny, Rudzki i Brzostowski każdy po jednej kuropatwie, a jeden ze strzelców zająca. Tak tedy mieliśmy już na dziś zapewnioną wieczerzę. Nad wieczorem pomknęła przedemną antylopa może na 50 kroków, mimo przestróg Kara Audzi, by mieć zawsze śrót gruby w jednej lufce, miałem tylko śrót drobny na frankoliny i kuropatwy, na które z wielkim zawsze poluję zapalem. Cóż było robić? Gorączka myśliwska mnie porwała, i jakby student na wakacjach, drobnym śrótłem strzeliłem i pokaleczyłem tego szlachetnego zwierza. Za ten czyn niemyślny dotąd wstydzę się przed samym sobą i przed wami bracia moi w Hubercie. Hulimka także strzelał na znaczną odległość kulą do stada antylop, a strzelec jego chybił do jednej, która mu bardzo blisko z krzaków pomknęła.

Przybyliśmy na nocleg do Missis, gdzieśmy znaleźli komfort, jakiego prawdopodobnie używać musieli Magowie podczas podróży do Betlehem. Jestto niegdyś miasto, a dziś ruina, dom bez dachu i okien, cztery ściany tylko i to już w stanie zupełnego rozkładu, tak że żąb czasu pogryzł niemiłosiernie — to nasz nocleg. Zaręczam, że żaden ze sportsmenów naszych niepostawiłby swego konia w tak lichy stajni, a przecież nasza karawana cała wraz z eskortą i mukrami tu nocować musiała. Przysłowie mówi: „Gdy na niedźwiedzia spadnie drobna gałązka, to wtedy mruczy, lecz gdy się na niego cała kłoda zwali, to mileczy“. Tak się stało! Ci nasi towarzysze, którym podróż po Wschodzie zanadto uciążliwą się wydawała dla braku komfortu, już w Adanie, a nawet w Konstantynopolu nie kontenci byli z hotelu i kuchni, tu w Missis, przygnębieni i jakby gromem rażeni umilkli i narzekać przestali. Co do mnie, lubo cenić umiem komfort w domu i przyznaję się, że go bardzo lubię, w wyprawach tego rodzaju wcale za nim nie tęsknię i ta właśnie odmiana mnie bawi. Ze względów higienicznych nawet bardzo jest dobrze wyrывać się czasem od zniewieściałego życia, i doznać trudów i niewygód, które hartują zdrowie. Każdy zresztą podróżujący po Wschodzie przygotowanym na to być musi, więc go żadna nie czeka w tym kierunku niespodzianka.

Z Missis wyruszyła 1 Marca karawana nasza do Kurd-kułak, wzdłuż stoku gór Tygrysih (Missis-dagh). Widzieliśmy w dali zwaliska pysznego zamku z czasu wojen krzyżowych, na szczycie wyniosłej, stromej skały. Skorzystałem z chwili wypoczynku, by sobie na prędko ten śliczny widok naszkicować. Zamek węzowy (İlan Kalesi) jest położony nad rzeką Dzihan-su, dawne Pyramus. Okolica ta słynie w istocie z niesłychanej ilości węzów. Osadzone tu przez rząd turecki liczne kolonie Czerkiesów, wydały zaciętą wojnę tym płazom i znacznie już je dotąd wyniszczyć mieli, jestto istotna walka o byt dla mieszkańców tej okolicy. Trzeba było znów zapolować na kuchnię, i przekonaliśmy się o niesłychanej w tych stronach ilości frankolinów, gdy ciągle przed nami bez wyjąłu wyrывały się te tak trudne do wyruszenia ptaki. Kilka ich się nawet porwało przed końmi naszymi podczas pochodu karawany. Na porządne polowanie niebyło czasu, i szliśmy tylko na ochotnika po krzakach wzdłuż drogi strzelając co się nadarzy. Chybiliśmy i postrzelili kilka frankolinów, ale niepodnieśli żadnego. Kara Audzi ruszył bardzo wielkiego odyńca, ale nie strzelił, gdyż miał tylko śrót drobny w strzelbie. Na bagnie koło szlaku zastaliśmy bajeczny ciąg kszyków, ale gdy to już było po zachodzie słońca, ptaki niedotrzymywały i parę tylko ubito.



Smutne to pieczone na wieczerzę dla siedmiu osób przy dobrym apetycie! Kurdkułak jestto jeszcze mizerniejsza miejscowość niż Missis. Pomieszczono nas w jakimś wielkim budynku, w którym jedna tylko była izba, oczywiście bez drzwi i okien, ściany plecione z chrustu, który na wewnątrz tworzy koleczaste przypadkowe boazerye. Nędza niewidziana! a w dodatku nasze zapasy żywności były w opłakanym stanie, bo postrzelone przez nas frankoliny, prawdopodobnie szakale dogryzały w tej chwili. Jakem to już poprzednio wspominał, prawdziwą naszą Opatrznością stał się Brzostowski, który się podjął roli kuchmistrza, i tak się świetnie ze swego wywiązywał zadania, iż po każdym obiedzie zasłużone hołdy odbierał, a trzeba wiedzieć, że w naszym gronie było kilku znawców nauki gastronomicznej. Lubo zasoby nasze były zbyt szczupłe, potrafił on jakimś cudem, jakby w Chanie Galilejskiej pomnożyć chleb i jadło tak, że wszyscy nieco nakarmieni choć wcale nie nasyceeni powstałi od wieczerzy. W około ogniska rozniesionego po środku izby, zawinięci w burki, i co kto miał przy sobie, przypomnieliśmy sobie przysłowie francuskie: „*Qui dort, dine*” i oczekiwaliśmy przybycia Morfeusza, oddając naszego ducha marzeniom, a nasze ciało na pastwę czarnym, skaczącym owadom, które tu są liczniejsze niż frankoliny w pustyni. Dwaj nasi towarzysze zbyt czuli na ból, który sprawia ta azyatycka tortura, postanowili przepędzić noc w hamakach, i zawiesiliśmy te siatkowe instrumenta na sterzących gałęziach ścian naszego domostwa, nie zbadawszy poprzednio stanu ich strupieszkości. Zawieszone lekkie hamaki same kołysały się z wdziękiem między niebem a ziemią i do snu zapraszały. Gdy po chwili te siatki obciążone zostały wagą przeszło cetnarową każdego z naszych towarzyszy, spruchniałe patyki, mimo chęci najlepszej wypowiedziały służbę, i hamaki posłuszne prawom przyrody i sile przyciągającej naszego planety, wraz z swym balastem z pod nieba runęły na ziemię. Gdyby na podłodze pod hamakami był nasz kuchmistrz pieprz choćby w najgróbszych ziarkach rozsypał, byłby go zastał pewnie na drobną mękę potłuczonym.

2 Marca wyjechaliśmy z Kurdkułak szlakiem, wzdłuż którego widać ślady gościńca zbudowanego przez Rzymian. Kręci on się po stokach gór Missis-dżebel, a u jego zachodniego kresu wznosi się wielka kamienna brama o nader ponurych zarysach, zwana bramą ciemności (Karanlyk kapusu). Gdyśmy przebyli wreszcie z wielkim trudem to strome pasmo gór, rozwidnił się przed nami uroczy krajobraz z widokiem na morze. Zatoka morska wpływa tu głęboko aż pod stopy olbrzymiego pasma gór Giaur-dagh, których szczyty okryte śniegiem. Z dala, po drugim końcu zatoki widne miasto Pajas, cel naszej dzisiejszej podróży. Karawana nasza myśliwska okrążyć musiała całą naszą zatokę, i marsz ten dziewięć godzin trwać musiał. Upał był nieznosny. Błogosławiliśmy nasze poczeiwe arabskie rumaki, które po stoku tych kamienistych gór ze zręcznością kozie schodziły, żaden nie upadł, żaden nie utknął. A my niedoświadczeni i niewdzięczni takeśmy im w dniach poprzednich złorzeczyli na równinach, że chód ich tak niepodobny do chodu naszych angielskich folblutów i halblutów. W tych górach byłbym rad widział owe do nas sprowadzane za drogie pieniądze dzieci Albionu. Kara Audzi swoim zwyczajem z Bleczką wzdłuż naszej drogi przebiegał zarosła. Niezmordowany to człowiek, zawsze swobodny, nigdy nienarzekający i niezdemoralizowany, zawsze pełen myśliwskiej ochoty i nadziei. Typ to już rzadki jednego z prawdziwych myśliwych, o których już tylko legendy wspominają, a któremu nikt z nas z pewnością ani w części sprostać nie zdoła pomimo całej naszej myśliw-

skiej zarozumiałości. Rzadko on kiedy dosiada rumaka, więcej bowiem ufa swoim dwom zdrowym nogom, niż czterem nogom końskim. Zabił trzy zające i przytroczywszy je do torby szedł dalej z nimi jakby dźwigał przepiórkę lub kuropatkę. Ostatnim swoim strzałem do zająca spłoszył stado antylop, w którym było najmniej z 50 sztuk, i ta cała czereda przemykała, ale na wielką odległość, po przed naszą karawaną.

Nie mieliśmy czasu zatrzymać się dla polowania bo mieliśmy jeszcze ogromny pochód przed sobą.

Karawana nasza znowu ze szlaku swego ruszyła kilka frankolinów, które zaraz w pobliżu zapadły, oczywiście wtedy wszyscy chwytaliśmy za broń i puszczaaliśmy się w pogoń za nimi. Szczególne to ptaki! Frankolin zrywa się czasem daleko przed strzałem lub jeźdźcem, ale gdy raz zapadnie, już go żadna siła ludzka (bo o sile psiej nie mówię) do zerwania się powtórnego nie zmusi. Po drodze zabiłem frankolina, a Rudzki fielausa. Doszedłszy do morskiego wybrzeża, zastaliśmy tam żaglową rybacką łódkę, na którą część naszych towarzyszy, strudzonych konną jazdą, wsiadła z rybakami, i tak popłynęli do Pajas. Po drodze strzelali bez skutku namacalnego do płasających po falach delfinów. Zanotować tu muszę, że chociaż to dziś 2 Marca, użyłem rozkoszy morskiej kąpieli pomimo protestacyi kolegów moich. Reszta naszego towarzystwa z karawaną dalej konno wyruszyła, stanęliśmy w Pajas już dobrze o zmroku. Miła czekała nas tu niespodzianka po wezorajszym noclegu. Zastaliśmy tu chan piętrowy z bardzo szeroką izbą. Chan jestto nazwa, którą na Wschodzie dają domom zajezdnym, ale które w niczem co do komfortu zbliżone nie są do zajezdných domów w Europie. Na piętrze ciągnęła się długa weranda z widokiem na morze, w którym zachodzący księżyc właśnie się zatapiał. Widok to był czarujący, i wyznaję, że nie tęskniąc w tej chwili ani za europejskim komfortem ani za wygodkami, które mi są zupełnie obojętne, gdy mi je widok przyrody tak hojnie wynagradza, wieczór ten przepędziłem nadzwyczaj miło, w zachwyceniu prawie. Rozgościłiśmy się stosunkowo wygodnie, i Brzostowski zgotował nam wyborny obiad z rozmaitych potworów morskich zakupionych od rybaków. Kajmakan niby Starosta tutejszy zapowiedział nam swoją wizytę, rano uprzedziliśmy go oczywiście i odwiedziliśmy go w jego Konaku. Widocznie brał on nas za wielkich dygnitarzy i zdaje mi się, iż Józefa Drohojowskiego wziął co najmniej za Następcę tronu Austriackiego, o którym słyszał, że teraz gdzieś podróżować ma po Wschodzie. Drohojowski doskonale odegrał swoją rolę, przez grzeczność nawet wypalił podaną mu cygarete z bardzo mocnego tytoniu, chociaż nigdy nie pali, wypił czarną kawę bez cukru, i po chwili poczał dostawać nudności. Pożegnaliśmy więc pospiesznie Kajmakana i zwidziliśmy twierdzą dziś w gruzach, a służącą za pomieszczenie słabej załogi, która tam strzeże więźniów stanu. To więzienie świadkiem nieraz było już wielu ciekawych i romantycznych epizodów. Góry Giaur-dagh były przed laty schronieniem przeróżnych szczepów nie uznających władzy Otomańskiej, które pod jej panowaniem żyć musiały. Wysłany przed kilkunasty laty gubernator bardzo energiczny, zdaje mi się Reszyd-Pasza, z liczną siłą zbrojną, tym buntom kres położył i rozboje powstrzymał. Gdzie-niegdzie tylko pojawiali się w tych górach rozbójnicy, których oryginalny sposób życia na uwagę zasługuje. O jednym z nich wspomnieć muszę, ale nazwiska jego niestety zapamiętać nie umiałem. Był to potomek wielkiej rodziny panującej w tych górach, rodzaj księcia udzielnego. Przywykły do rozkazywania a nie do słuchania rozkazów, oparł się oczywiście, skoro



władze Ottomańskie zawezwały go do pełnienia służby wojskowej. Z licznym, dobrze uzbrojonym poczem przyjaciół i sług, schronił się w góry Giaur-daghu, i tu staczał bitwy, zawsze zwycięskie z wojskami tureckimi, wysyłanymi przeciw niemu. Żył z rozboju, ale ten rozbój jego był oryginalnym. Wysyłał swoich zaufanych ludzi, którzy wkradali się aż do mieszkania gubernatora, i tam od niego, z pistoletem wymierzonym ku piersi odbierali pieniądze ściągnięte przez rząd jako podatek wydarty od biednej ludności. Policja turecka tak jest sprytną, że nigdy nie zdołała pochwycić sprawców tego figla, a ludzie zaufani naszego oryginalnego bandyty przebiegali potem wioski okoliczne, i oddawali z najwyższą akuracnością biednej ludności pieniądze wydarte im przez Rząd na podatek. Ten azyatycki Rinaldo-Rinaldini prócz tego nigdy żadnego nie napadał europejczyka, ale nienawidził Greków i Ormian, najwyższych oszustów wśród tutejszej ludności. Spotkawszy więc w swych górach kupca Greka lub Ormiana, nie przepuszczał go nigdy, zabrał cały dobytek, i rozdzielał go niezwłocznie między ubogą ludność miejscową, twierdząc zawsze, że bogactwo tych szalbierzy powstało z łez i krzywdy owych nieszczęśliwych ofiar. Po kilku latach i ten poetyczny bandyta popadł przez zdradę w ręce władz tureckich. Szczegółów jego uwięzienia nieumiano mi dokładnie opowiedzieć, ale i tu była jakaś romantyczna historia, bo jak to zawsze w takich sprawach bywa: „*Cherchez la femme!*“ Dość, że ten bandyta bohater, długo więzionym był w twierdzy Pajas, aż raz, namówiony przez swoich towarzyszy, o ucieczce zamarzył. Pokazywano nam miejsce w rowie otaczającym fortecę, gdzie padł od kuli stojącego na straży żołnierza.

Zwidziliśmy potem meczet ślicznej budowy, ale dziś już przeniesiony w ruinę, jak w ogóle wszystkie gmachy tureckie w Azji. Budynki tu rozpadają się tak w gruzy, jak całe Państwo Ottomańskie. Tu zapisać wypada wyraz: „*finis Osmaniae*“. Tu już sam Allah niepomocze. Wicher szalał przez noc całą, i morze bardzo było wzburzone.

3 Marca wyruszyła nasza karawana z Pajas do Aleksandretty. Burza przybrała rozmiary, o jakich w Europie pojęcia nawet nie mamy. Kroczyliśmy wzdłuż morskiego wybrzeża, po lewej piętrzyły się wciąż ciemne szczyty Giaur-daghu, po prawej zaś rozbijane, spienione i jak śnieg białe morskie fale, nad którymi wichrem pędzone kropliste mgły przypominały nam zadymkę śnieżną na Podolskich stepach. Konie nasze postępowały z trudnością, a od czasu do czasu uragan zasympywał nam oczy deszczem piasku, kamyczków i morskich muszelek, od których tylko głęboko na twarz wsunięte zawoje, ochronić nas zdołały. Był to istny obraz sławnego Samum na Saharze, ale jeszcze o wiele bolesniejszy. Kazimierz Drohojowski, który w chwili wyjazdu do Alexandretty chciał udawać europejczyka, zdjął dziś swój zawój turecki i okrył głowę eleganckim wiedeńskim kapeluszem. Uragan muzułmański tem zgorzszony, zdarł mu oczywiście to eleganckie, ale tu wcale niepraktyczne nakrycie głowy. Kapelusz szybkim lotem na skrzydłach wiatru uleciał w górę, jakby frankolin z mirtowego krzaka, chwilę krążył w powietrzu, a potem jak orzeł, który się rzuca na swą zdobycz, runął z góry na morze, by zatonać po wiek wieków we wzburzonych falach i stać się pastwą rekinów.

Ponad karawaną naszą prawdziwy orzeł pławić się zaczął i padł od strzału Rudzkiego, a po chwili nadleciał i sęp olbrzymi, któremu uragan tak do lotu przeszkadzał, iż na parę stóp zaledwo mógł się wznieść nad ziemię, kilka strzałów padło do niego, ale ptaka nietknięto wcale.

O Aleksandrecie dawnem Iskanderum, długo rozpisywać się niemyślę, jestto portowe miasto pół-wschodnie, pół-europejskie, położone wśród bagien w najniezdrowszej w świecie okolicy tak, że mieszkańcy zamożni w Maju wynoszą się w góry, a pozostający stają się pastwą zawziętej febry, która często, zwłaszcza dla cudzoziemców, śmiertelną bywa.

Dzień więc 4go Marca przepędziło towarzystwo nasze na wypoczynku w Aleksandrecie. Wypoczynek to był świetny, gdyż zastaliśmy tu jakiś rodzaj hotelu, nocleg się odbył, jak zwykle na Oriencie bez łóżek i pościeli, w pokojach bez drzwi i okien, ale spało się doskonale, niezaznało się głodu, gdyż oprócz przywiezionych ze sobą rozmaitych zasobów, zjedliśmy w restauracyi całą owieczarnię, bo baranina jest tu jedynem znanem mięsem. Dodać do tego należy najrozmaitsze wyborne owoce wschodnie, lepsze i aromatyczniejsze od wszystkich owoców europejskich. Jeden z towarzyszy naszych p. Rudzki znękany, zmęczony, zdemoralizowany opowiadaniem o jakichś idealnych napadach i rozbojach w Syrii, opuścił nasze towarzystwo, i korzystając z wyjazdu francuskiego parowca: „*La Seyne*“, który odpływać miał do Marsylii, pożegnał nas, nie chcąc się narażać na niebezpieczeństwa dalszej myśliwskiej wyprawy.

Dnia 5 Marca, pomimo niesłychanego upału nasze grono myśliwskie pod przewodnictwem Brzostowskiego, udało się z 10 Arabami i jednym tamtejszym strzelcem, na polowanie na szakale, w okolicę Alexandretty. Kara Audzi pozostał w mieście, by wszystko do dalszej podróży przygotować. Po półgodzinym chodzie za miastem, stanęli nasi myśliwi na starym rzymskim murowanym wodociągu, a pogonka goniła oleandrowe zarośla i szuwary na bagnach. Było to najoryginalniejsze stanowisko, na którym kiedykolwiek stać mi się wydarzyło, zwierzy, by przejść linię strzelców, musiał akrobatyczne wyprawiać sztuki, i zdawać dowody gimastycznej zdolności. Zaraz w tym pierwszym miocie Józef Drohojowski zabił szakala, a Hulimka ślicznego zbika *felis chaus*, o wiele większego od zbika *felis caligata*, o barwie siwo szarej wcale nie centkowanej, ogon tylko ozdobiony kilkoma czarnymi obręczami, na uszach ma jak rys czarną, długą szcęgę stojącą w kształcie pióropusza. Kazimierz Drohojowski także zabił szakala. Powtórzyliśmy jeszcze kilka takich miotów na trzcinach, i w jednym z nich wyszło na Hulimkę z rzędu aż 5 szakali, z których zabił jednego, a Józef Drohojowski drugiego, potem chybiono jeszcze do kilku szakali. Mnie dziś nieszczęście widocznie prześladowało, nie przyszedłem wcale do strzału. Bardzo wczesnie powróciliśmy na obiad do Alexandretty, poczem udaliśmy się łódką na pokład stojącego jeszcze w porcie francuskiego statku, by pożegnać odjeżdżającego pierwszego dezertera z pod naszego sztandaru p. Rudzkiego. Po skończonem polowaniu, tuż przed obiadem, poszliśmy użyć morskiej kąpieli, która nas po nieznośnym upale nieco ochłodziła, a działo się to 5go Marca. Mój Boże! może w moim kraju dziś jeszcze sankami jeżdżą, a może termometr stoi niżej 0 Reaumura.

Dnia 6 Marca wypoczywaliśmy, i robiliśmy przygotowania do pierwszej wyprawy w góry, a więc właściwie do rozpoczęcia polowania, a już dwaj bracia Drohojowscy zmęczeni, zdemoralizowani cztero-dniową podróżą i brakiem wygod, przed rozpoczęciem polowania, nasze grono opuścić musieli, i jutro statkiem płynącym na Beirut odjeżdżają. Zostaje więc pięciu tylko uczestników wyprawy: Kara Audzi, Hulimka, Brzostowski, Janowski i ja, nielicząc strzelca Hulimki, naszego drogmana pana Mazouillet i młodego Araba Dagera, służącego p. Janowskiego. Prawdziwą była żalobą w towarzystwie na-



szym utrata tak miłych i uprzejmych kolegów, i jasno nam stało w pamięci przysłowie:

„Kto wymyślił pożegnanie,  
Niech mu kością w gardle stanie!”

Wszelakoż widzieliśmy to dobrze, że ci towarzysze, którzy szczerzy żal za sobą u nas zostawiali, znękani, strudzeni tak stosunkowo małymi trudami, nigdy niebyliby wstanie sprostać trudom, które nas czekają wśród polowań górskich. Do tego potrzeba silnego zdrowia, wytrzymałości, cierpliwości, a przede wszystkim myśliwskiego zapału, który niepozwała oglądać się na niewygodę, a od niemyśliwych tego wymagać nie można. Co do mnie nie przywykłem się cofać z drogi raz podjętej nawet w obec trudności największych, i przedsięwzięte postanowienie wbrew wszelkim przeciwnościom przeprowadzić muszę, choćbym opuszczony przez wszystkich, sam jeden na syryjskiej pustyni jako myśliwy pozostał. Ktokolwiek z Europejczyków polować chce na Wschodzie, niech weźmie na czas jakiś rozbrat z komfortem, do którego przywykł w domu, niech pamięta, że tu myśliwy musi być nieraz swoim własnym liwerantem kuchennym, kamerdynerem, kuchmistrem, a czasem i praczką. Jeśli jest z usposobienia sybarytą i wygodnisiem, to niech w domu siedzi i poluje po parkach na chowane półswojskie bażanty i na zające w czeskich Kreisach. Tam twarz mu spuchnie od strzelania, zje po polowaniu smaczny obiad, napije się szampana i będzie mógł jeszcze wieczorem kilka tysięcy przegrać w kwindecza, a potem się wyspi wygodnie na sprężynowym materacu. Któremu myśliwemu takich łowów potrzeba, niechże nie jedzie do Azji.

W Poniedziałek 7go Marca pożegnaliśmy ostatecznie naszych towarzyszy, i odprawivszy eskortę, jako balast niepotrzebny, z najętymi koniami i mukrami puściliśmy się w drogę do Akbes. Mukry tem są dla koni w Syrii, czem są osły dla wielbłądów w okolicach Smirny, prowadzą oni te biedne, do niemożliwych rozmiarów objuczone zwierzęta, a te zwierzęta składają się właściwie z dwóch gatunków, z koni i muków. Nasza karawana otrzymała w udziale egzemplarz niewidziany, należący do tego ostatniego rodzaju, jestto muł narowisty i złośliwy nie do pojęcia, a przytem pasjonat i choleryk. Za zbliżeniem się człowieka dęba staje, ale na przednich nogach, a tylnymi nogami puszcza w koło siebie, jakby młyn ognisty wierzgające wystrzały, gęstsze niż ogień sztucę systemu Winchester. Niesposób było tego furyata użyć do naszej wyprawy, musieliśmy go innym zastąpić.

Obchodzili dziś Grecy i inni chrześcijanie w Alexandrecie festyn pożegnania karnawału. Potworna maska na szczydlach, otoczona licznym i tłumami ludności, odprowadzoną została aż za miasto, i tam dopiero odprawiono „una fantasia”, jak mi to jakiś ucywilizowany Arab wytłumaczył. Niewiem na czem się ten festyn narodowy zasadza, i wcale niebyłem ciekaw uciech karnawałowych, bo czas było wyruszać w drogę. Wyjechaliśmy więc z Alexandretty na nocleg do miasteczka Bejlan o trzy godziny marszu. Trudno sobie wyobrazić coś równie malowniczego i dzikiego, jak ta droga, która jest przejściem przez pasmo stromych gór i nazywa się: „Sakał tutan” Łapi-broda. W głębokich parowach i wąwozach ciągnąca się droga, i rozbójnicy tam wygodnie ukryci za skałami, podróżnego wprost za brodę łapać mogą. Jestto w istocie niezrównane pole do popisów dla jakiegoś Rinaldo Rinaldiniego, a choćby i naszego Dobosza, ale poeciwa muzułmańska ludność w Syrii tem rzemiosłem się brzydzi. Może dawniej bywało inaczej, ale dziś już rozbójników tu nie ma, i z trzosem pełnym złota w rękę,

może podróżny sam jeden przejść przez całą Syryję, a nikt go niezaczepli i nienapadnie z pewnością. Księżyc wysoko zawieszony na niebie jak lampa czarodziejska oświecał ten cudowny krajobraz, a towarzysząca nam szczególna orkiestra harmonii z tą dziką całością tworzyła, było to bezustanne wycie szakali, zupełnie podobne do płaczu dziecka, niby duchy niemowląt, pokutujące w tych skałach. Dziwne to wszystko sprawiało wrażenie a niezatarte w mojej pamięci.

Późno w noc przybyliśmy do miasteczka Bejlan, gdzieśmy zastali pomieszknięcie w piętrowym domu, wygodniejsze niż wszystkie te, któreśmy dotąd na naszej drodze spotkali. Bejlan to cud prawdziwy! na opis silić się niebędę, pióro i pędzel tu stać się muszą bezwładnemi, tak jak w obec Bosforu, choć te piękności całkiem są innego rodzaju. Na stromych stokach gór Giaur-daghu, wśród dzikich parowów, fantastycznie pozawieszane amfiteatralnie domy, otoczone winnicami, jakby tyleż gniazd orlich, a między niemi z gór pędzące potoki, tworzące wodospady większe i mniejsze. Gdzie-niegdzie sterczące wysoko skały w postaci wysmukłych kolumn, przypominają wieżycę minaretów i kościołów, a w dali widok na morze. Tu śmiałe, skaliste łuki, niby arcydzieła architektury gotyckiej i bizantyńskiej, bo budowane ręką nie ludzką, ale najpierwszego w świecie budowniczego, tego co stworzył przyrodę. Nie jestem pejzażystą, a jednak mimowoli chciałem spróbować choć kilka z tych czarujących przedmiotów naszkicować, darmo! ołówek wypadł z ręki bezsilnej. To cuda! Cuda prawdziwe!

Kajmakan tutejszy, skoro się dowiedział o naszym przyjeździe, przybył do nas w odwiedziny ze swoimi miejscowymi dygnitarzami, i długo w noc zabawiali nas rozmową po turecku. Nocleg mieliśmy wyborny, a rano kąpiel w źródlanej, jak kryształ czystej wodzie, w domu naszym z wodospadu ujętej w olbrzymią, granitową wannę. Czegóż chcieć więcej? Kurük-han, rodzaj hotelu, a raczej kawiarni, z widokiem na jezioro Antiochijskie, u stóp góry Alma-dagh, nad rzeką Kara-su, oto nasz dzisiejszy nocleg. Przeszliśmy przez pasmo gór Giaur-dagh, po drodze zabiłem na kuchnię zajęcia, a Brzostowski kuropatwę. Wesoło i swobodnie kroczyliśmy wszyscy pod wrażeniem przepysznych widoków, któreśmy mieli przed sobą, demoralizacya opuściła nasze szeregi, byliśmy lotną kolumną czysto myśliwską. W Kurük-han aż nadto obszerne zastaliśmy pomieszczenie, wielka weranda w postaci mostu rzucona przez płynącą tuż koło domu odnogę rzeki Kara-su, służyła nam za jadalną salę, i znowu wyborną mieliśmy kąpiel. Z wieczora udaliśmy się na zasiadkę na szakale i hyeny, przy padlinie blisko naszego chanu. Na nieszczęście zgraje psów miejscowych, zaniepokojonych przybyciem cudzoziemców, czekały nieznacznie przez noc całą, i wypłoszyły zwierza. Powracając Brzostowski chybił do pomkniętego żbika.

Dnia 10 Marca ruszyliśmy doliną, wzdłuż pasma tychże samych gór, które się tu kończą stromemi, nagimi skałami. Na jednej z tych skał ujrzelśmy orła, karawana podjeżdżała, a ja, zsiadłszy z konia, zaszedłem go zdradziecko, zakryty skałą, wprowadziłem na znaczną, ale na możliwą odległość, wbił się bardzo w górę po moich dwóch strzałach i zatoczywszy krąg w powietrzu padł trupem prawie w sam środek naszej karawany. Piękny to orzeł brunatny (*aquila clanga*). Jeszcze 11 godzin marszu mieliśmy przez pustynię, na której się znajdują gdzie-niegdzie Turkomańskie osady, i przez rzadkie dąbrowy, zanim stanęliśmy we wiosce ormijańskiej Kassa. Tu nas czekał nędzny nocleg w stajence, z której gospodarz przez grzeczność dla nas kozy i owce powypędzał, prowiantów nie mieliśmy już żadnych, mleko z ryżem jedynym było naszym



dzisiejszym pokarmem. Przysłowie wschodnie mówi: „Żyd oszukać potrafi 10 Turków, Grek 10 Żydów, a Ormianin 10 Greków“. Otóż ten nasz gospodarz Ormianin za nocleg w swojej stajence kazał nam zapłacić więcej, niż wart cały inwentarz, który się tam zazwyczaj mieści. Oficer od żandarmeryi zaraz przybył, by nam złożyć swe uszanowanie i oddał się na nasze rozkazy, bawił nas długo rozmową, ale biedny Turek pomieścić nas lepiej nie potrafił. Przebyliśmy tę noc straszną w walce z owadami Wschodu o rozmaitych barwach i kształtach, aż proszak perski nareszcie nas od nich wyswobodził. Nazajutrz 11go po śniadaniu, które było plagiatem wczorajszej wieczery, bo składało się znowu z mleka i ryżu, udaliśmy się do Akbes. Dwugodzinna to podróż przez góry czarownie piękne, skały, urwiska okryte wyższym już nieco drzewostanem, oleandry, morwy, mirty i owe karłowate dęby z kolcami, a wszędzie rwiące górskie potoki, spadające w postaci szumnych wodospadów. Koło nich kobierce zielone, zasiane anemonami fioletowymi, błękitnymi i krwawej barwy, hyacenty, lewkonije i krocie innych nieznanych mi kwiatów. Konie nasze kroczyły po najtrudniejszej drodze, przez olbrzymie bryły kamienne i odłamy skał, to znów przez szumiące potoki z taką pewnością i swobodą, jakby wyścigowy rumak Albionu po arenie. Żaden nie upadnie, żaden się nie potknie, byle jeździec nim nie kierował wcale, i zupełnie swoje losy jemu powierzył. Dla tego to zawsze utrzymuję, że koń w górach mędrzy od niejednego filozofa na dolinach. Przybyliśmy nareszcie do Akbes i zajęliśmy do Monasteru OO. Lazarystów, Missyonarzy francuskich. Przeor konwentu, ojciec Destino, rodem z Marsylii, uprzedzony już listownie o naszym przybyciu, przyjął nas serdecznie i ugościł w klasztorze. Człowiek to bardzo sympatyczny i wykształcony. Co za miła niespodzianka, gdy po tylu trudach i niewygodach znaleźliśmy tu wygodne, obszerne i czyste pomieszkание, pościel i jedzenie, choć wschodnie, ale składające się z niezliczonej ilości potraw, a przytem serdeczność, gościnność i uprzejmość. Istna to dla nas była oaza. Jest tu pięciu mnichów, trzech Francuzów, jeden Niemiec, a kucharz konwentu Polak rodem z Gdańska, od 22 lat kraj opuścił, ale po polsku jeszcze wcale nieźle mówi. W tej uroczej ustroni, konwent ten missyonarski wielkie cywilizacyjne oddał usługi, niosąc światło wiary katolickiej między ludność tutejszą. Miłe robią wrażenie te roje dziatek w muzułmańskich strojach, garnące się do tego konwentu, do tych księży, którzy ich katechizują. Ojciec Destino nachwalił mi się niemógł prawości, poczciwości i szlachetności charakteru ludności tej w Syryi, pośród której od lat wielu pozostaje. Są tu jeszcze tradycyjnie przechowane enoty, o których niestety my dzieci Zachodu już pojęcia nie mamy, a nawet w nie wierzyć nie chcemy. Przełożony konwentu w Akbes wielkie położył zasługi, i klasztor niegdyś bardzo opuszczony teraz wyrestaurował, rozszerzył i z europejską wygodą urządził. Otoczył go wielkim ogrodem oliwnym, winogrodowym i morwowym, z gór wodę akwaduktem sprowadził i urządził kilka zbiorowisk z wodospadami, które ogrody konwentu zaopatrują, słowem całość nadzwyczaj urocze sprawia wrażenie. Nam po przebytych trudach o tyle piękniejszą jeszcze wydawać się musi ta oaza, wśród tych uprzejmych i gościnnych mnichów, wśród okolicy jednej z najpiękniejszych w świecie, mimowoli nam się na myśl nasuwa wiersz:

„Jakże piękny ten świat boży!  
„Jak ci ludzie są poczciwi!“

Dnia 12 Marca, po nocy spędzonej w wygodnych łóżkach, na śnieżno-białej pościeli, po wysłuchaniu mszy świętej w kaplicy klasztornej, udaliśmy się z czterema Arabami i trzema kundysami na polowanie. Deszcz lał przez noc całą, ale się wypogodziło nad ranem. Z tą zaimprovizowaną pogonką wzięliśmy miot w zaroślach niedaleko monasteru, i ruszyliśmy kilka słonek i znaczną ilość czerwonych kuropatw, których w tej okolicy taka jest mnogość, że zwłaszcza z pomocą dobrego wyzła, możnaby do wielkich dojść rezultatów. Ale zamiarem naszym było na grubszego polować zwierza, a więc bardzo mało zajmowaliśmy się kuropatwami. Zaraz w tym pierwszym miocie Brzostowski strzelał bez skutku na wielką odległość do dwóch wilków i do żbika, które się wymknęły nieobstawionemu stanowiskiem. Ja postrzeliłem szakala, który padł na miejscu, ale się zerwał po chwili i skoczył w gęstwinię, z której go żadna siła ludzka już wydobyć nie mogła, bo o gęszczach tutejszych w Europie pojęcia nawet nie mamy, jest to nieczem nieprzebyta tkanina zarośli, kolców i cierni, bluszczem silnie okrzęconych. Zwierz tylko przez grzeczność z nich wychodzi, by się spotkać ze strzałem myśliwca, zmusić go nikt niezdola, jeśli dobrowolnie opuścić niechce tej swojej nieczem nie zdobytej twierdzy. Założyliśmy jeszcze miot jeden, w którym widziałem szakala i dwa żbiki, ale na taką odległość, że o strzale myśleć nie mogłem. Miot trzeci wzięliśmy na stromym stoku góry, gdzie się spodziewano pantery. Tu polowanie na panterę jest równie niebezpieczne, jak w górach naszych Karpackich polowanie na niedźwiedzia, bo myśliwy zawsze jest narażonym na to jedyne możliwe niebezpieczeństwo, że zwierza nie spotka. Od lat dwudziestu przeszło z tem niebezpieczeństwem na niedźwiedzia poluję więc i nas ono dziś tu nie ominęło z panterą. Oczywiście, że w miocie pantery nie było, a jeżeli była, to niewyszła na nas, a deszcz rżęsisty puściwszy się znowu, przemoczył nas jak gąbki, i zagnał na powrót w gościnne progi Monasteru.

Lasy w całej Syryi zupełnie są wyniszczone i podniosłego drzewostanu tam prawie nigdzie nie widać. Cały ten olbrzymi ocean gór i pustyń pokryty jest niskimi krzewami, i tysiącami roślinami, które bywają o dobą cieplarni naszych, a wszystko ubarwione najpiękniejszymi kwiatami. Dla tego to po miastach tutejszych drzewo opałowe droższe jest o wiele niż u nas w Galicyi, to tylko szczęście, że przez wzgląd na klimat, niewiele go potrzeba. A co do gatunku jest ono bardzo lichy jako opał: mirty, oleandry, cyprysy i palmy piękniej wyglądają w cieplarniach, niż na kominku. Przeszedłszy tak rozległe przestrzenie, wśród tej karłowatej roślinności, zatuszkowałem szczerze za widokiem naszych ramienistych dębów i buków, za naszą poczciwą białą brzozą, a choćby i smukłą topolą.

Dnia 13 Marca deszcz lał jak z cebra, więc o polowaniu niemożna było myśleć, dopiero nad wieczorem nieco się wypogodziło i Brzostowski wybiegł śledzić kuropatwy, które się ustawicznie wabiły w klasztornym ogrodzie i zastrzelił jedną. Przed zachodem słońca, we dwóch z Brzostowskim udaliśmy się, prowadzeni przez tutejszego Araba strzelca, do znanej jaskini, w której się znajdują hyeny, i tam mieliśmy na nie zasiaść. W obec piękności dzikiej, górskiej doliny, którąśmy przechodzili, błędną piękności gór Tyrolu, Styryi, i nasze czarowne Tatry. Rzecz dziwna, że hyena, ten zwierz brzydki, ementarny grabarz z rzemiosła, wybrał sobie za siedzibę jedną z najbardziej uroczych na świecie miejscowości. Mieszka ona tu w istocie w jakimś prawdziwym ogrodzie bożym. Zasiadaliśmy więc na skale, tuż nad otworem jaskini, i zaraz po za-



chodzie słońca usłyszeliśmy w głębi mruczenie, stapania, potem ryk przeraźliwy i wycie. Długo to trwało. Z sercem bijącym, ze strzelbą przy ramieniu, a palcem na cynglu, oczekiwaliśmy ciągle chwili, w której się łeb hyeny z otworu ukaże, była to dla nas męka straszna, ale męka przyjemna. Przepraszam za ten paradox, ale sądzę, że każdy myśliwy go zrozumie. Bo czyż to nie jest rzeczywista męka Tantala, znajdować się o pięć kroków od nieznanego jeszcze zwierza, którego tak się zabić pragnie, słyszeć tuż obok siebie jego chód, jego mruczenie, jego oddech prawie, a nieprzyjść do strzału? Wszystko wreszcie ucichło, żadna hyena tej nocy z jaskini wyjść nie chciała, i my z rozpaczą w duszy, skarżąc się blademu księżycowi, który jasno jak słońce przyświecał, powróciliśmy do domu.

Dnia 14 Marca. Niedziela. Udał się rano na nabożeństwo, a po obiedzie wyszliśmy na ochotnika, by coś zastrzelić dla klasztornej kuchni. Kara Audzi bardzo silnie postrzelił wilka, ale że to zwierzyna wcale na kuchnię nieprzydatna, zaniechaliśmy za nim dalszej pogoni. Ja zabiłem zająca, a Brzostowski kuropatwę. Około zachodu słońca Hulimka poszedł w mroje wczorajsze ślady, i znowu z Brzostowskim udał się do owej jaskini. Księżyc świecił prześlicznie, ale hyena znowu z jaskini nie wychodziła, a co więcej milczała zawzięcie, dopiero po godzinnem moim czekaniu usłyszał ciężkie kroki, i część głowy i grzbietu, ukazała mu się nareszcie. Sztuciec miał wymierzony i czekał stosownej chwili, gdy w tem Brzostowski, znudzony czekaniem, nie licząc na możliwy rezultat, dla zabawki zawabił, naśladując głos zająca. Widać, że hyena azyatycka nieobeznaną jest z głosem zająca europejskiego, bo poznała jakąś zdradę, cofnęła się żywo do jaskini, by się już więcej nie pokazać, i tak Hulimka nieprzyszedł do strzału.

Dnia 15 Marca. Udał się w dolinę na daniela. W pierwszym miocie Hulimka, strzelec jego i Janowski chybili do wilka, a myśliwy Turek do szakala. Dalej na Hulimkę wyszedł na łakę ogromny daniel łopatacz. Choć to strzelec znakomity, i tyle już nam dał dowodów celności swoich strzałów, jednak na widok tego nieznanego mu zwierza dostał myśliwskiej gorączki — za szybko strzelił i chybił. Kara Audzi także chybił do dwóch danieli, a Janowski do jednego. Ja na odległość około stu kroków przestrzeliłem kulą z expressa daniela, który padł na miejscu, potem powstał i powlókł się w zarośla, zostawiając po obu stronach tropu obfite strugi farby. Puścił się za nim w pogoń strzelec Turkoman ze swoim psem, i obiecał, że postrzelonego zwierza dojdzie z pewnością. Doniesiono wieczorem do Monastru, że ten Turkoman go doszedł w istocie, ale go spożył ze swą rodziną i przyjaciółmi. Zabiliśmy jeszcze trzy zające, Brzostowski zabił trzy kuropatwy a Hulimka słońkę. Piękny mógł być rezultat dzisiejszego polowania, ale widocznie ktoś zaccarował strzelby europejskich strzelców.

Dnia 16 Marca. Wyjechaliśmy znowu na tę samą dolinę, by się pomścić na danielach za wczorajsze nasze niepowodzenie. Wedle strategicznego planu Turków, wzięliśmy dwa mioty, podczas których myśliwi nieopuszczali swoich stanowisk, pogonka tylko zachodziła. Działo się to w ogromnym lesie rządowym, w którym rośnie rzadka dębina na bazaltowych podkładach, a cudne, krwawego koloru anemony tworzą jakby jednostajne pąsowe dywany. W każdym z tych dwóch miotów mogłyby cztery udzielne państwa niemieckie kadryla ze sobą tańcować. Przekonaliśmy się, że w żadnej części świata tak olbrzymich miotów brać niemożna, to też pogonka widziała siedem danieli, ale te oczywiście wyszły bez strzału. Braliśmy potem mioty mniejsze. Pogonka tutejsza sprytna, chętna i po-

jętna, po dwudniowym, nieznanem jej dotąd polowaniu, zorganizowała się wzorowo i mogła już współzawodniczyć z najlepszą pogonką europejską. Pomimo wrodzonej wesołości i hałaśliwości ludności tutejszej, cicho brano mioty z wzorowym porządkiem. Braciszek Lambert z tutejszego konwentu, zapamiętał myśliwy, towarzyszył nam zawsze, tę miał jednak wadę, że nigdy strzelby nie miał przygotowanej do strzału, gdy tego potrzeba wymagała. I tak, siedząc dziś w jednym miocie pod skałą, miał fatalną przygodę, że daniel przez tę skałę i przez niego przeskoczył, gdy on był zajęty robieniem cygarety a strzelba na ziemi leżała. Zabiłem zająca i lisa zupełnie odmiennego od lisów naszych, jest bowiem o wiele mniejszy i barwy bardziej przypominającej szakala, a po środku kity ma czarną centkę. Drugiego podobnie lisa silnie postrzeliłem, a w chwili gdy noszący moją drugą strzelbę chłopiec miał go podnosić, zwierz się zerwał, powlókł się dalej, aż dobił go strzelec Hulimki. Brzostowski zabił zająca i 4 wiewiórki, także zupełnie odmiennie od naszych, są one szaro-żółtawe, podobne do koszatek, i mają ogon całkiem płaski. Widzieliśmy jeszcze dzika, ale nikt do niego nie strzelił, a powracając zabiliśmy kilka okazów rozmaitych drobnych ptaków do zbiorów pana Janowskiego.

Dnia 17 Marca fatum jakieś zaciężyło nad nami. Bogini Diana widocznie odwróciła od nas swoje oblicze. Nasz zastęp myśliwski z wywiczoną przez nas pogonką wyruszył dodnia w dąbrowy na daniela. Nieoceniony przełożony konwentu towarzyszył nam także na koniu, ale bez broni w ręku, bo ten gościnny nasz chlebobawca, chociaż niemyśliwy, wszelkich starań dokładał, by nam uprzyjemnić pobyt w tych górach, i żywy brał udział w polowaniu. Braciszek Lambert także był z nami na osiołku. Wyjechawszy na dąbrowę ujrzelśmy zaraz na bazaltowym wzgórzu wielkie stado antylop, jak sądzę było ich z kilkanaście sztuk, a więc natychmiast okrążyliśmy wzgórze, i rozstawiliśmy się aż ku dolinie. Ja miałem stanowisko już w dębowych zaroślach. Pogonka przegonić miała to kamieniste wzgórze, w kształcie głowy cukru wulkaniczną siłą wypędzone z doliny, i zaledwo tylko ruszyła, całe stado antylop pędem ruszyło wprost na moje stanowisko. Były już o paręset kroków odemnie, a serce mi biło tak silnie, że słyszałem wyraźnie każde jego uderzenie. Przysłowie mówi:

„Zła żona, zły sąsiad i diabeł trzeci,  
Jednej matki dzieci“.

Otóż i ja widać miałem przy sobie jedno z tych złych dzieci tej matki, bo złego sąsiada, a był nim strzelec Hulimki. Widząc idące na mnie antylopy, porwany jakimś szalonym i nielogicznym nawet zapalem myśliwskim, począł ze swego stanowiska wprost na sztych podbiegać, i tak odwrócił je na powrót na pogonkę. Żalu za wyrządzone mi krzywdy długo w sobie żywić nieumiem, ale krzywdą podobną wyrządzona myśliwemu, mimowolnie na długo utkwii w pamięci. Mniej miałbym żalu za przypadkowy postrzał (oczywiście drobnym strótem), niż za taki niemyśliwski czyn i prawdziwą obrazę zakonu św. Huberta. W następującym miocie, za winę sługi, mściwa Nemezis ukarała samego pana, i tak na Hulimkę znowu stado antylop na sztych wychodziło, gdy wtem jakiś Turkoman turysta, podróżujący z żoną, dziećmi, osiołkami i wielbłądem, ten właśnie miot za cel podróży sobie obrał, i wpadł wraz z rodziną i całym swoim żywym inwentarzem między Hulimkę i antylopy. Oto druga przygoda nasza! Wzięliśmy znowu miot, w którym ruszono kilkanaście danieli, ale te nie wyszły wcale na strzelców. Braciszek Lambert tylko chybił



do szakala, a ja zabiłem zająca. Przegoniono potem miot, w który udały się daniela i niepojętem zrządzeniem losu Janowski znany przyrodnik, zapomniał o tej kardynalnej zasadzie w przyrodzie zwierza, że zwykle wychodzi z miotu, w którym jest gonionym, a nie na odwrót. Otóż usiadł on za grubym dębem, plecami obrócony do miotu, i po za tym właśnie dębem, a więc po za jego plecami, przeszły na kroków kilkanaście dwa wielkie daniela, oba stare łopatacze. Ponieważ tylko bożek Janus w mitologii ma oczy z przodu i z tyłu głowy, pan Janowski na czas danieli niespostrzegł i w skutek tego bez rezultatu musieliśmy powrócić do domu. W monasterze zastaliśmy na dziedzińcu rozbitą piękny biały namiot z flagą angielską. Podczas naszej niebytności przybyli tu dwaj Nemrodzi Angliey, którzy własnym swoim statkiem zawinęli do Alexandretty, i mieli zamiar udać się na polowanie na niedźwiedzie w góry Giaur-dagh. Przy wieczery poznaliśmy tych panów, jeden z nich Sir John Baird ze Szkocyi, człowiek bardzo miły, wykształcony i namiętny myśliwy, który odbywał już polowania po wszystkich częściach świata. Zamierzany przytem bardzo zoolog, i o ile mogłem osądzić bardzo biegły w swoim zawodzie, po francusku mówi doskonale. Towarzysz jego, istny Anglik *de comédie*, nieruchomy, jak ptak wypchany i nieznający innej mowy, prócz mowy Albionu. Nudzić się musiał podczas wieczery, jak nie myśliwy na stanowisku, rozmówić się mógł tylko ze swoim towarzyszem i ze mną, bo ogólna rozmowa toczyła się po francusku. Pokazywali nam ci panowie swoją bron. Składała się ona z czterech sztuców express z Londyńskich fabryk. O enocie tej broni sądzić oczywiście nie mogę, ale przekonany jestem, że sławna maczuga Herkulesa o wiele lżejszą i zgrabniejszą być musiała od tych arcydziel Lancastera. Tę jedną korzyść tylko posiada broń tego rodzaju, iż każda pojedyncza strzelba kosztuje o wiele więcej, niż folwark na Mazurach wraz z inwentarzem całym.

Dnia 18 Marca udaliśmy się z naszymi nowymi towarzyszami z Albionu na polowanie na daniela. Bogini Diana odwróciła znowu od nas swoje oblicze i rzucanej na nas klątwy nie zdjęła. Komiczne są bardzo przeprawy nasze przez rozmaite górskie strumienie, a takie przeprawy po kilka razy na dzień u nas się odbywają. Przez szumiący potok myśliwi przyjeżdżają konno, innych porywają nasi Syryjczycy mukry w swe silne ramiona, i jakby niemowlęta na drugi brzeg przenoszą. Służący naszych Anglików, niemając konia, na grzbiecie mukra silnego, lecz średniego wzrostu, odbywał przeprawę, a sam był wzrostu niesłychanie słusznego. Niewiedząc mimo swego praktycznego angielskiego rozumu, iż w podobnych razach koniecznem jest podnieść nogi do góry, jeśli się je nie chce zamoczyć, syn Albionu odrazu zaczął po wzburzonych nurtach wiosłować swojemi nad wszelką miarę długimi nogami, a zsuwając się coraz niżej z grzbietu mukra, zakończył swoją przeprawę przez rzekę Prissnitzowskim sitzbadem. Po pierwszych kilku miotach, w których niezastaliśmy szukanej przez nas zwierzyny, ujrzelśmy na obszernej łące pasących się sześć danieli, wśród nich były dwa piękne łopatacze, wielkości prawie naszych jeleni. Oskrzydliliśmy je szczęśliwie, a pogonka je zabiegła wybornie, całe to stado zbitą kolumną wyszło na naszego Anglika pana John Baird na kroków kilkadziesiąt, i na czystej łące stanęła przed nim ta czereda cała. Kula jego ciężkiego instrumentu, z którego jak mówił, siedmiu lwów zabił w Afryce, poszła światami, może gdzieś do Albionu, ale ominęła całe stado danieli. Z tym Anglikiem zabawne miałem zajście. W ciągu polowania całego nie opuszczał mnie na chwilę

i obarczał pytaniami najrozmaitszemi. Z pogadanki myśliwskiej przeszliśmy na tor polityczny, i przekonałem się, iż postawił sobie za zadanie mnie i moich towarzyszy w tym kierunku wybadać. Stawiał mi co chwila pytania najrozmaitsze co do topografii Syryi, jej stosunków ekonomicznych, i w ogóle rzeczy, o których byłem jak w rogu. Znekany tą inkwizycją powiedziałem wreszcie memu Anglikowi:

„Przebacz mi Pan otwartość moją, jeśli wypowiem znowu moje zdanie co do Pańskiej podróży!“

„Bardzo proszę!“

„Oto wierzyć niemogę, ażebyś Pan jako tak wytrawny myśliwy, mógł przedsięwziąć zamysł odbycia w góry Giaur-dagh, mających kilkadziesiąt mil kwadratowych powierzchni, wyprawy na niedźwiedzie i pantery we dwóch tylko, z pańskim towarzyszem i jednym służącym, przywiezionym z Anglii i z dwoma mukrami, którzy wasze muły i konie prowadzą.“

„A dla czego?“

„Bo to by było istną niedorzecznością, a wiem, że Angliey niedorzeczności popełniać nie lubią.“

„Więc cóż Pan sądzisz?“

„Sądzę, że Panowie przybyłście tu polować na zwierzynę inną, nie na tę, która się znajduje w górach Giaur-dagh.“

„A więc na jakąż?“

„Na nas!“

„Oh!.....“

„Tak jest: na nas! — Gdyś mnie Pan do tego upoważnił, ażebym był szczerym, będę nim do końca. Oto Panowie niewiem już jakim sposobem, dowiedzieliście się, iż towarzystwo jakieś myśliwskie, z prowincyi polskiej, będącej pod berłem Monarchii Austryjackiej, przybyło do Syryi i wylądowało w Mersynie. Myślistwo jest tylko maską, pod którą się tu głębsze widoki polityczne kryją. To są agenci, może pionierzy przyszłej wyprawy Austryjackiej na azyatyckie wybrzeże, wyprawy, której może jest zamiarem przeciąć na przyszłość anglikom drogę na Wschód, i tak na gruzach morskiej potęgi Anglii wielką potęgę morską dla Austrii utworzyć. Dla tego to Panowie dążycie za nami od dni kilku, niespuszczacie nas z oka, od Mersyny do Akbes nie zeszlście z tropów naszych, jak dobry wyżeł z tropu frankolina, i przybyłście aż tu za nami pod pozorem łowów na niedźwiedzie i pantery, ale powtarzam, że waszą zwierzyną — my jesteśmy.“

„Jakżeś to Pan poznał?“

„Gdybym tego niebył poznał pierwaj, to poznaję to teraz po pańskim pomieszaniu i zdziwieniu! Ale bądź Pan w tym względzie spokojnym, bo honorem zaręczyc mogę, iż ci, którzy Panów wysłali, są w błędzie i Panów w błąd wprowadzili. Żadnej misyi politycznej niemamy na oku, jesteśmy tylko myśliwskim towarzystwem. Wierz mi Pan lub nie wierz, ale raz jeszcze daję Panu na to słowo honoru. Czy pojedziesz Pan jeszcze polować na niedźwiedzie i pantery w Giaur-daghu?“

„Nie. — Jutro powrócę do Alexandretty, z kądem moim statkiem odpłynę do Egiptu“, — odpowiedział mi na to Sir John Baird, prawdziwy gentleman angielski uściśnawszy serdecznie moją dłoń. W tem niemem uściśnieniu mieściło się słów wiele, ale te wygłoszonemi nie zostały i wygłoszonemi nigdy nie będą. W jednym uściśnieniu dłoni nieraz cały poemat leży, ale lepiej go nigdy piórem nie dotykać. W poprzednich miotach zabił Brzostowski szakala i zająca, braciszek Lambert aż dwa zające, co mu się podobno pierwszy raz w życiu wydarzyło, poznaliśmy to po jego niewidzianej radości. Ja także zabiłem zająca. Te zwierzęta mnie w Azji prześladowają tak, jak gdybym ich dość nie miał w Europie! Na



polowaniach tutejszych miałem nieodstępного towarzysza, może trzynasto-letniego chłopca Araba, który zawsze przy mnie stał na stanowisku i trzymał mój sztuciec w odwodzie. Niepojęty jest spryt tych dzieci tutejszych. Przekonany jestem, iż naszego chłopca rusina albo mazura w ciągu trzech miesięcy niezdolaliby nikt za pomocą nawet jego narodowej mowy wyuczyć tego, co ja rozmawiając na migi w trzech dniach tego chłopca wyuczyłem. Sygnalizował mi po mistrzowsku każdą nadchodzącą zwierzynę, a z bronią tak się nauczył obchodzić, jak gdyby z zawodu był rusznikarzem. Dwa przezemnie postrzelone zajęce doszedł i przyaportował, jak gdyby był Gordon-Setterem lub ułożonym przez Mariabrunnera Schweiss-hundem. W ogóle spryt tutejszej ludności pod każdym względem w zachwyt mnie wprawia. Nasi Angliecy, którzy tu wybrali się na łowy, tak jakby ktoś chciał na Ocean wypłynąć z wędką na wieloryba, we dwóch tylko bez znajomości języka i okolicy, sami poznali w obec nas niedorzeczność takiej wyprawy. Sądzę, że moja rozmowa z Panem John Baird nie-mało się do tego przyczyniła, dość że to „fiasco angielskie“ skończyło się szybkim odwrotem ścigającej nas albiońskiej wyprawy, która zamiast w górę Giauirdagh wybrała się napowrót przez Bejlan do Alexandretty.

Dnia 19 Marca. — Nasi Angliecy zaniechawszy dalszego polowania na niedźwiedzie, na pantery i na nas, pośród strasznej burzy z deszczem i śniegiem opuścili Akbes. Wszystkie góry do koła przystroili swe szczyty w białe, śniegowe turbany, nie było więc sposobu wyjść z pod strzechy. Przez dzień cały robiłem rozmaite szkice do mego albumu, i z tego powodu spotkał mnie zaszczyt odwizdin rozmaitych dygnitarzy Akbesu, którzy mnie prosili o swoje portrety. Nie jestem bynajmniej rysownikiem, a więc jako nieuk naszkicowałem kilku z nich ołówkiem. Ci ludzie prosili o rysunku oczywiście pojęcia niemają, i moje bazgraniny wydawały się w ich oczach arcydziełami takimi, jakimi są u nas prace Matejki lub Siemiradzkiego. Radość ich była niezmierna, gdy się wzajemnie na nabazgranych przezemnie portretach poznawali. Przy charakterystycznych rysach, cechujących ludność tutejszą, uchwycenie podobieństwa nie jest rzeczą trudną, skoro taki jak ja dyletant i partacz zdołał te podobieństwa uchwycić. Jak to łatwo czasem małymi środkami ludziom radość sprawić! Dygnitarze rozmaici z włości, należących do parafii w Akbes przybyli, oświadczyli nam za pośrednictwem przełożonego konwentu Ojca Destino, iż wiedzą już o tem dobrze, żeśmy tu przybyli, ażeby ich kraj zająć, i dla tego to zawiązaliśmy z nimi przyjaźne stosunki. Chętnie się oni na to zgadzają i oddają się nam z ufnością. Wolą nas niżli wszystkich cudzoziemców, których tu dotąd widzieli, bo jesteśmy dla nich grzeczni i uprzejmi, i do ich serc przez to umiemy trafić. Pod żadnym jednak warunkiem dostaćby się nie chcieli pod panowanie Anglików, którzy są sztywni, niemili, i umieją wyzyskiwać na swą korzyść dobrą wiarę pocziwych ludzi. Jak też to czujne oko rządów Albionu tę ewentualność nawet przewidziało, czego dowodem myśliwska wycieczka Pana John Baird. A my — towarzysze myśliwi — jakąż piękną rolę polityczną bylibyśmy mogli odegrać w Syrii!...

Dnia tego przybył do Akbes myśliwy „Panternikiem“ zwany, bo specjalista do polowań na pantery. Jest on rodem Ormijanin, mieszka w górach o dzień jazdy od monasteru. Zapewnił on, iż nas zaprowadzić gotów w okolicę, gdzie się roją daniela, i pantery nie są rzadkie. Sam zabija ich kilka do roku, w ogóle utrzymuje się głównie z myśliwstwa. Zbyt wielka była to dla nas pokusa, gdy widoki nasze polowania

na grubego zwierza w Bulgar-daghu spełzły na niczem, za-pragnęliśmy z tej ostatniej jeszcze skorzystać sposobności, i postanowiliśmy przedsięwziąć tę trudną i uciążliwą wyprawę.

Dnia 20 Marca wyruszyliśmy wszyscy konno, oprócz braciszka Lamberta, który wierny pozostał swemu osiołkowi, wyladowanemu do niemożliwych rozmiarów tak, że braciszek siedząc na szczycie swoich bagażów wyglądał na nim jakby sęp na skale. Panternik Ormianin prowadził naszą wyprawę i po całodziennym marszu bardzo uciążliwym przez pustynię i przez skaliste stoki gór stanęliśmy późno wieczorem we wiosce Antilli. Jestto miejscowość fantastycznie zawieszona na stoku stromej góry. Po drodze Kara Audzi zabił słonkę, a Brzostowski kuropatwę. Nocowaliśmy w pomieszkaniu Panternika, który nas o ile mógł, jak najgościnniej przyjął, ale tu rzecz można tylko było: „Czem chata uboga tem rada“, bo o bagactwie chaty mowy być niemogło. Przedstawił nam Panternik naprzód swoją rodzinę, składającą się z żony bardzo brzydkiej i brzydszego jeszcze pół tuzina dzieci. To nas bynajmniej niezachwyciło, ale zajęła nas bardziej jego psiarnia. Składała się ona także z pół tuzina kundysów żółtych, bardzo ładnych i niesłychanie zajadłych. Z tymi to psami nasz Panternik wszystkie swoje myśliwskie odbywa wycieczki. Pokazywał nam dwie skóry ze świeżo przez siebie zabitych panter, i przekonaliśmy się oglądając dokładnie te skóry, iż jedna z nich padła bez strzału i tylko przez psy zagryzioną była. Dla psiarni naszego Panternika jestto najpiękniejsza reklama! Nocleg odbyliśmy w stajence, która była zarazem salonem, jadalnią i buduaem żony naszego gospodarza. Ogień płonął przez noc całą po środku tego salonu, i usnęliśmy nareszcie pomimo wycia szakali, beczenia kóz, owiec i chrapania towarzyszy naszych.

Dnia 21 Marca. — Wyjechaliśmy z Antilli. Po czterogodzinnym pochodzie, podczas którego nasi towarzysze kroczyli spokojnie na grzbietach swoich wierzchowców, a ja tylko i Kara Audzi przebiegaliśmy okoliczne zarośla w nadziei ruszenia jakiegokolwiek zwierza. Przechodząc przez pustynię, około podniosłego wzgórza, Kara Audzi zatrzymał karawanę całą, i zwrócił naszą uwagę na przedmiot, który w istocie do najciekawszych zaliczyć muszę. Na pagórku, jakąś dziwną, prawdopodobnie wulkaniczną wypędzoną siłą, sterczały bazaltowe kolumny. Zbiegliśmy się wszyscy, i oglądaliśmy te cuda. Z białego marmuru posadzka tworzyła podstawę tych zwalisk, które prawdopodobnie niegdyś były jakąś świątynią lub pałacem, a nad tą posadzką sterczące kolumny bazaltowe ozdobione były najciekawszymi assyryjskimi płaskorzeźbami. O! gdybym był archeologiem! Jakże ciekawe o tem czytelnikom naszym mógłbym dać sprawozdanie! Tak nie jest niestety. Przyznałem się do nieuctwa w tej mierze, a więc proszę mnie niepotępiać, jeśli powiem po prostu, że na tych cennych zabytkach starożytnych czasów ujrzałem tylko bardzo starannie wykonaną rzeźbę jelenia podobnego do smoka, drugą zaś smoka podobnego do jelenia, a na odłamie olbrzymiej kolumny wizerunek dwóch Assyryjczyków, bardzo podobnych do Chińczyków, z których jeden drugiego pięścią w kark uderza. Kara Audzi mi wytłómaczył, iż ten ostatni obraz przedstawia prowadzenie na śmierć winowajcy jakiegoś, bo ten, który kolegę swego w kark bije, jest katem, trzyma bowiem w ręku miecz i harap, a ofiara ma sznurek na szyi. Widać, że już Assyryjczycy przeculi istniejącą dziś u nas w Europie zasadę: „Siła przed prawem“. Lubo nie jestem badaczem starożytności i nieznam się na nich, wyznać muszę, że te zabytki nadzwyczaj mnie zaciękały. Nikt tu o nich dotąd niewiedział i przypadkowo



przez jakichś pasterzy wykopane zostały. Pragnąłem kilka z tych pomników naszkicować, ale na to nie było czasu, mieliśmy bowiem bardzo jeszcze długi pochód przed sobą. Urozmaiciło nam podróż oryginalne, przypadkowe polowanie. Przed końmi naszymi pomknęły naraz z zarośli aż dwa szakale. Psy nasze puściły się za nimi w pogoń i rozdzieliły się tak, iż dwa pobiegły za pierwszym, a cztery za drugim szakalem. Byliśmy świadkami zabawnego karuzelu, który się odbywał przed nami na stoku nagiego, skalistego pagórka. Trzy kundysy naszego Panternika poczęły dawać obroty szakalowi, który wedle swojej możności stawiał im mężny opór, gdy wtem nadbiegł czwarty kundys, biały, najzjadliwszy. Zrównawszy się ze zwierzem, schwycił go za gardło, i obalił na ziemię z taką siłą, że w jednej chwili pod łapami jego ujrzelśmy trupa drgającego tylko szakala. Drugi zaś pomknął ścigany przez psy za pagórek, i niewiemy, co się z nim stało, ale gdy ściągające za nim dwa psy nareszcie powróciły z dobrą miną, obliczując się ustawicznie, zaręczył nam Panternik, że i drugi szakal z pewnością schwytany został. Woleliśmy mu wierzyć na słowo, niż rzecz sprawdzać, bo toby było zabrało z godziny czasu, a spieszo nam było na miejsce przeznaczenia. W ciągu dalszym naszego pochodu Brzostowski zabił pięknego jastrzębia wężownika.

Przeszliśmy potem pieszo pasmo stromych nagich skał, a karawana nasza objeżdżała je dołem. Sztuciec mój był przytroczony do siodła mego wierzchowca, a iglicówkę miałem w ręku. Panternik, który szedł przy mnie, wskazał mi bardzo liczne stado antylop, i oświadczył, iż mnie do nich doprowadzi na strzał. Nie było już czasu oglądać się za sztucem, który Bóg wie jak daleko pozostał z karawaną, a więc z iglicówką nabitą śrótem poszedłem za Panternikiem. Było w stadzie około 30 antylop, i te, zakryci oleandrami, mirtami, podeszliśmy na jakie 140 kroków. Panternik pełzał jak wąż po ziemi, a ja za nim pełzałem. Oóż to był za idealny strzał na mój sztuciec express! ale ten niestety został przy bagażach! Miałem tylko śrót w strzelbie, byłoby niedorzecznością strzelać na taką odległość. Antylopy nareszcie pomknęły i oczywiście uszły bez strzału.

Przed nami rozciągał się na wzgórzach sosnowy las, który miał być siedliskiem danieli. Rozstawiliśmy się na szczycie góry, a psy z dołu puszczone. Kundysy Panternika prawie wcale nie dają głosu, odezwały się tylko parę razy i wyгнаły na linię strzelców daniela, do którego chybił Kara Audzi. Stado z kilku danieli złożone wypadło na jednego ze strzelców, który psy prowadził, ale Arab chybił je także swoim zwyczajem. Gorszych strzelców od Arabów nie ma na świecie! Rozczarowani dzisiejszem polowaniem, udaliśmy się na nocleg do wsi. Wieś ta zowie się: „Katrandzilar“. Jest zamieszkałą przez muzułmańską sektę zwaną „Jezydy“, którzy są „czcicielami czarta“.

Proszę wszystkich naszych czytelników, którzy się łaskawie losami naszej Syryjskiej wyprawy zaopiekować racyli, ażeby nie zadrżeli o nas na myśl, że tę noc spędzać musimy pod opieką ludności, która czarta ubóstwia. Jezydy są to najpocziwsi ludzie na świecie, i w ich obejściach, pod ich skrzydłami, byłibyśmy bezpieczniejsi może, niż pod czujnym okiem policji Państw Europejskich. Ci Jezydy są w istocie dziwną sektą. Głównym ich aktem wiary jest przekonanie, iż Bóg, jako istota najwyższa i najlepsza, nigdy nie złego ludziom zrobić nie może, ale czart jest zły i szkodzić zawsze gotów, a więc jemu najwyższa cześć przynależy, ażeby go przebłagać i zrobić nieszkodliwym. Na cześć jego należy pościć, zabi-

jać barany, czynić ofiary, które nam są przykre, bo tylko to jemu sprawiać może przyjemność, co nas udręcza, zaś Bóg, najlepsza, kochająca nas istota, w żadnem udręczeniu naszym przyjemności widzieć nie może. Więc posty, ofiary i udręczenia wszelkie Jezydy tylko czartowi niosą w ofierze. Niewiem czy kiedykolwiek filozofowie nasi nad tą myślą się zastanawiali. Dość, że ci sekcjarze czarta nienawidzą, ale wszystko co mogą niosą mu w ofierze, ażeby go przebłagać i nieszkodliwym uczynić. Czczą go też pod postacią koguta ślepego i kulawego. To przesąd silniejszy jeszcze niż u nas, gdzie mówią, iż „trzeba i djabłu świeczkę zapalić“, a ci Jezydy palą mu wyłącznie wszystkie swoje kadzidła. Z tym kogutem było tu zabawne raz wydarzenie. Naczelnik tej sekty posiada u siebie wizerunek jego, i ten kogut ślepy i kulawy jest tu otoczony czcią najwyższą. Otóż będąc raz w krytycznem położeniu pieniężnem, ten naczelnik sekty pożyczył od pewnego zamieszkałego tu Włocha kilka tysięcy piastrow, a nieposiadając zbyt wielkiego kredytu, oddał mu w zastaw swego koguta-djabła. Przyszedł termin zapłaty — pieniędzy nie było! Otóż ów Włoch, w ciemną nie bity, wynalazł sposób. Począł objeżdżać różne osady, do tej sekty należące, ze swoim bożkiem w jassyr wziętym, i żądał wszędzie okupu. W krótkim czasie odebrał on wszystkie swoje pieniądze z takim procentem, że gdyby się to było zdarzyło w Galicyi, niemałe byłby miał zajęcia z Prokuratorją z powodu ustawy o lichwie. Dobroczynni cywilizatorowie europejscy nawet błogie owoce lichwy umieli zaszcześcić na Wschodzie! Noc spędziliśmy w stajence przy ognisku, a Brzostowski znowu cuda robił, bo z niczego zgotował nam wieczerzę, żywność bowiem nam wyszła, zwierzyzna niedopisała, a raczej my niedopisaliliśmy zwierzyźnie, musieliśmy więc kupić barana na obiad jutrzejszy. Jezydzi dostarczyli nam nieszczęsnej ofiary, jakby czartowi samemu. Baranka zabito, przyrządzono, i smaczny jego czomber zawieszono na belkach w naszej stajence. Gdy wszystko już było w śnie pogrążone, przyśniło się braciszкови Lambert, który bardzo głodny spać się położył i o jutrzejszej baraninie marzył, że psy nasze w nocy jedzą owego baranka przeznaczonego na nasz obiad jutrzejszy. Budzi się nagle, robi alarm, i sen jego tak dalece zdaje mu się rzeczywistością, iż chwyta za kij, i zaczyna bić i wypędzać ze stajni biedne psy, które Bogu ducha winne i znieczone przy nas spały. My poznaliśmy zaraz omyłkę, ale dusząc się od śmiechu nie wyprowadziliśmy z błędu braciszka Lambert, tylko zaczęliśmy ubolewać nad przygodą, i braciszek był przekonany, że to wszystko było na jawie. Udaliśmy się do spoczynku, ale spoczynek był niemożliwym, bo matka zamordowanego baranka żałośnymi głosem wywołując ducha na nasz obiad przeznaczonego synka, przez całą noc spać nam nie dała. Rano, gdyśmy się wszyscy zbudzili, braciszek spojrział na pułap stajenki i ujrzał wiszące szczątki barana, zawołał z komiecznem zdziwieniem: „Qu'est-ce que c'est que ça?“ Odpowiedzieliśmy mu, że to jest pieczeń barania na nasz dzisiejszy obiad przeznaczona. „Ale to być nie może! Wszakże psy naszą baraninę tej nocy zjadły!“ — „Nie, to się braciszкови tylko przyśniło“, — odpowiedzieliśmy chórem. — „A więc to był sen tylko?“ — „Tak, tylko sen!“ — Więc w takim razie zacóż wybiłem i wypędziłem te biedne psy?“ — „Tego nie wiemy!“ — odpowiedzieliśmy znowu, i głośnie wybuchy śmiechu zakończyły tę komedię.

Dnia 21 Marca bardzo rano wyruszyliśmy pod dowództwem Ormianina Panternika, z jego psami i zaimprovizowaną pogonką, składającą się przeważnie z samych czcicieli szatana, w stronę góry, okrytej rzadką sośniną, na owe obiecane pan-



tery i daniela. Kto tylko z myśliwych wiele polował na grubego zwierza, mianowicie w górach, ten miał sposobność się przekonać, jakiej to wytrwałości, cierpliwości i ofiar wymaga tego rodzaju polowanie. Myśliwy, który się łatwo demoralizuje, niech w góry nie jedzie, bo może być przekonany, że nieraz dnie całe nie spotka się z żadną zwierzyną, dopiero kiedyś, jedna chwila szczęścia wynagrodzi mu wszystkie trudy. Wyznałem, że w licznych moich górskich polowaniach te rzadkie chwile szczęścia zapisałem w rzędzie najpiękniejszych w moim myśliwskim życiu. dla tego to niepowodzenia ciężkie i długie znoszę z pokorą i cierpliwością, i górskie polowanie namiennie lubię. Nie wszyscy nasi towarzysze podzielali to zamiłowanie moje. Gdy pantery stały się oczywiście „*lupus in fabula*“, a daniela niewyszły na strzelców, już z południa demoralizacya zupełna wkradła się w nasze szeregi. Lubo jeden z naszych Jezydów wypatrzył na przeciwległej górze znaczną trzodę danieli i stado dzików, które na polu żerowały, zmęczeni nasi towarzysze dalszych wyrzekli się łowów, rozpalili ogień, i zaczęli się krzątać około sporządzania zwłok owego baranka, który tej nocy pośród nas tak humorystyczną odegrał rolę. My dwaj tylko z Kara Audżim, woleliśmy żywe daniela, niż nieboszczyka baranka, i z psiarnią i pogonką, wśród najdokuczliwszego upału, wdrapaliśmy się na szczyt przeciwległej góry. We dwóch tylko, bo trzecim strzelcem był nasz Panternik, obsadziliśmy możliwe przesmyki. Staliśmy więc od siebie o kilkaset kroków. Dalsze stanowiska oczekiwały naszych towarzyszy, którzy niestety stali się na teraz kucharzami, a nie myśliwymi. Sprytnie daniela, gonione przez psy, przeszły właśnie owymi stanowiskami, któreśmy we trzech obstawić nie mogli. Naliczyłem sam 11 sztuk w jednym, a 7 w drugim stadzie, ale przeszły koło mnie na odległość niemożliwą. Było między nimi kilka ślicznych łopataczów. Gdyby też nasi towarzysze byli swój zawód kucharski na później odłożyli, jakże piękną kartę byłiby mogli w swoich pamiętnikach myśliwskich zapisać! Przygnębieni i rozczarowani tem zdarzeniem, powróciliśmy z Kara Audżim do ogniska, powtarzając wiersz:

„Widzę to dziś niestety własnemi oczyma:

„Wielu u nas jest strzelców, lecz myśliwych nie ma!“

Dość wczesnie zeszliśmy się wszyscy na zaimprovizowane w lesie śniadanie, gdzieśmy czynnie dowiedli braciśzkowi Lambert, iż jego sen był tylko marą, bo owego baranka zgłodniałymi myśliwymi zjedli do szczytu, i jedynie kości psom pozostawili. Rozczarowani, ale każdy z nas w innym kierunku, i skwaszeni jakby korniszony w occie, zakończyliśmy tu nasze opłowanie na grubego zwierza w Syrii, i pożegnawszy gościnyh ezcicieli Czarta puściliśmy się na powrót drogą do Akbes. Nocleg wypadł nam nie w czystym polu, ale w rzadkim lesie bez dachu. Rozłożono ognisko, i wrzucono na stos gałęzie terpentynowego drzewa, które śliczny daje płomień, z każdej gałęzi zawzięcie z ogniem walącego drzewa tryskał płomyk błękitny, podobny do gazowych płomyków. „*Look, how they struggle for life, the Monarch of the Wood*“. „Patrz, jak o życie walczą ci monarchowie lasów“. Słowa te napisał jeden z wygnańców naszych, jasno mi one wtedy stanęły w pamięci. Podczas noclegu naszego, niesłyszeliśmy tu płaczu owce, rozżalonej po stracie syna, nawet lament szakali z daleka tylko słyszeć się dawał, ale za to zimno silnie zaczęło nam dokuczać w tej dolinie, bliskiej gór okrytych śniegiem. Myśliwi nasi otuleni w burki, płaszcze, i w co kto miał, spędzili tak trzecią prawie z rzędu noc bezseną i najniewygodniejszą przy ognisku. Nad ranem przekonaliśmy się, iż woda w dzbankach

naszych zamarzała. Bardzo rano puściliśmy się więc w dalszą drogę, by się nieco ogrzać, co też wkrótce nastąpiło. Skoro słońce zeszło, nieznosny upał zaczął dokuczać. Strzelano po drodze do rozmaitego ptactwa. Kara Audżi zabił jastrzębia: *buteo ferox*, największego szkodnika ze wszystkich drapieżnych ptaków w Syrii, Brzostowski grzywacza i kilka drobnych ptaszków, a ja białego jastrzębia. Nad wszelki wyraz strudzeni, późno wieczorem przybyliśmy do Akbes.

Dzień 23 Marca spędziliśmy na wypoczynku po odbytych trudach. Noc spędzona w wygodnych łóżkach, bez towarzysztwa kóz, owiec i baranów, była prawdziwą rozkoszą. Rano, chociaż stosunkowo bardzo późno, wszyscy powstawali, a ja zabrałem się do rysunku, ażeby naprzód naszkicować widok monasteru na pamiątkę dla naszego pocziwego, nieoszacowanego przełożonego ojca Destino, i dla odrysowania kilku typowych postaci. Ta praca zajęła dzień cały, i niedozwoliła mi nawet pójść na projektowaną zasadzkę na hyenę do naszej znanej jaskini. Hulimka i Brzostowski udali się tam przed zachodem słońca, i w istocie hyena wyszła na 30 kroków na Hulimkę. Celnym strzałem przeszył ją kulą swego Expressa, ale hyena jestto zwierz twardy i najtrudniejszy do zabicia na miejscu. Z ogromnym rykiem, koziołkując, zsunęła się w głąb parowu, zostawiając za sobą obfite strugi ciemnej farby. Noc niedozwoliła za nią ścigać, i myśliwi przedsięwzięli nazajutrz dalszą rozpocząć pogoń, wszelką mając nadzieję, że tak silnie postrzelony zwierz stać się musi ich zdobyczą.

Dnia 24 Marca. Do dnia udali się Hulimka i Brzostowski na miejsce, w którym wczoraj porzucili ostatni trop postrzelonej hyeny. O kilka kroków od tego miejsca znaleziono już jej trupa. Kula expressa przeszła ją przez uda. W tryumfie przywieziono do monasteru jej głowę i część skóry. Wszyscy serdeczne składaliśmy powinszowania Hulimce, który ubiwszy najciekawszy okaz zwierzyny, rzeczywistym został królem wyprawy naszej. My przez ten czas przygotowywaliśmy się w podróż do Antiochii, gdzie mieliśmy nadzieję, na tamtejszem jeziorze powetować zawody, które nam polowanie na grubego zwierza przyniosło. Pożegnaliśmy naszych kochanych Lazarystów ze szczerą wdzięcznością i z żalem w sercach. Ludność Akbesu, z którą także potrafiliśmy się zaprzyjaźnić podczas naszego pobytu, żegnała nas jak braci. „*Da bir tefe rasgeledzeis!... Inszalla!...*“ (Da Bóg jeszcze się obaczmy!... Daj Boże!) Tak wołali za nami ci pocziwi ludzie. Wątpię jednak, aby to już kiedy na tym świecie nastąpiło! Dawną, niegdyś już przez nas przebytą drogą puściliśmy się do Antiochii. W bardzo smutnym stanie znajdowały się nasze zapasy kuchenne. Wszystkiego mieliśmy ze sobą dwie przez Brzostowskiego kupione za 11 franków, ulaskawione czerwone kurapatwy, które miały zamiar żywe do Europy zajeżdżać, głowę z świeżo zabitej hyeny i kilka ptaków wypchanych. Mamy dziś przeszło 10 godzin ciężkiej podróży, a więc o polowaniu na kuchnię myśleć nie można, byliśmy jednak o przyszłość spokojni. Twórczy zmysł Brzostowskiego nie zawiódł nas nigdy, pod jego opieką nigdy niedoznaliśmy głodu. Katastrofa nieprzewidziana, a która nas z początku mocno przeraziła, nastąpiła w ciągu naszej podróży. Gdy już dobrze o zmroku pozostałem przy tylnej straży naszej karawany, i żywą prowadziłem rozmowę z Janowskim o faunie, ornitologii i florze Syryjskiej, usłyszałem wystrzał u straży przedniej naszego oddziału. Po chwili zatrzymała się cała nasza karawana. Pociąnąłem konia, i z przerażeniem ujrzałem leżącego na ziemi wodza naszego Kara Audżi, który już o własnych siłach dzwignąć się nie mógł. Cóż się stało? Oto przed karawaną naszą,



na skalistym stoku góry przechadzał się lis czy szakał, bo tego niezdolaliśmy sprawdzić. Kara Audzi nieobliczywszy się poprzednio z nerwami swego wierzchowca strzelił, a narowiste zwierzę spłoszone zaczęło z nim pomykać. Siodło się przekręciło. Kara Audzi padł na stos kamieni i stłukł sobie bok bardzo silnie. Karawana nasza szybko pospieszyła do Kirig-han, by przygotować nocleg, a ja z Janowskim, dwoma mukrami i młodym Arabem Dagerem, służącym Janowskiego, pozostaliśmy przy pacyencie. Trudne to było zadanie przewieźć go na osiołku, trzymając pod boki, przykładając ciągle kompresy, zaimprovizowane z naszych chustek, po bardzo długim pochodzie, późno w nocy zajechaliśmy, a raczej zaszliśmy do Kirig-han. Tu czekał nas nocleg okropny. Zastaliśmy silny oddział wojska tureckiego, który eskortował transport więźniów do Alexandretty, i tu cały han zajął. Musieliśmy więc znów nocować na gołej ziemi, w stajence, bo nawet słomę w drodze rek wizycy zabrano dla wojska. Głód dokuczał, wielkie niebezpieczeństwo groziło kuropatwom ułaskawionym w klatce. Obmyślana przez Brzostowskiego wieczerza z ryżu, jaj i herbaty ocaliła ptaszęta.

Dnia 26 Marca. Kara Audzi czuł się nieco lepiej, ale z łóża o własnych siłach podnieść się niemógł. Chciałem przy nim pozostać, by go pielęgnować w chorobie, ale stanowczo oparł się temu i zażądał tylko, by przy nim pozostał Dager, służący Janowskiego, który mu przez cały dzień jeszcze miał przykładać kompresy, a jutro prawdopodobnie dogoni nas w Antiochii. Nasza karawana puściła się więc w dalszą drogę. Kroczyliśmy wzdłuż brzegów jeziora Antiochijskiego, które się oku przedstawia jak istny Ocean. Po prawej stronie skał, nad którymi pławiły się białe sępy, udało mi się zabić jednego z tych ptaków. Jest prawie całkiem biały, skrzydła czarne, dziób i część głowy żółte, silnie sterczące ma pióra na głowie i szyi. Gościńiec wiodący do Antiochii przypominał mi jeden z gościńców naszych galicyjskich, wybudowany w czasach przedautonomicznych, o którym pewien nasz dowcipny dziennik się wyraził, że to jest gościńiec „kapitałny“ biorąc etymologię łacińską od słowa *caput* (głowa), kamienie bowiem wielkości głowy na tym gościńcu leżą. Trzeba w istocie zręczności wierzchowców tutejszych, by tam nóg nie połamać. Nad wieczorem ujrzelśmy Antiochię z jej ruinami, wodociągami, a skąpaną wezbranami falami Orontu. Zubożały to monarcha, który się ubrał w łachmany. Miasto usiadło u stóp stromych skał, na których stoku, jak orle gniazdo, przyklejone są ruiny trzech zamków mniejszych, a na szczycie najwyższej skały, jak korona, usiadły zwaliska zamku, który niegdyś zdobytym był przez Tankreda. Imponujące sprawia wrażenie Antiochija. Jestto niegdyś wielki pan, dziś żebrak, który, zdaje się, iż chce się kłaść do trumny, ale piętno królewskie jasno przebija z liców tego żebraka. Trzęsienie ziemi, które miasto przed ośmiu laty nawidziło, było ostatnią trawiącą gorączką staruszka. Antiochia kilkakrotnie kataklizmami niszczone, trzema warstwami zapadła się w ziemię. Są tu trzy miasta nad sobą stojące: dwa miasta umarłych, jedno żywych, i właśnie to żywe miasto jest owym konającym staruszką. Robi ono wrażenie zgnębnego, zchorzałego i wiekiem zgnębnego potomka starożytnego królewskiego rodu. Zaniedbany, schorzały, półkupiec, półdziwak, błąka się jeszcze po świecie, a jego przodkowie-rycerze już w grobie. Dzwon dziejowy i dla niego zabrzmiał głosem zagłady, na bliskim jego pogrzebie skruszą tarczę herbową, i ród wygaśnie. Taką jest Antiochia. Pierwszy raz, odkąd jesteśmy na Wschodzie, zazналиśmy niegościnności, i ta nas spotkała ze strony europejczyka, a co najgorsze ze strony

katolickiego księdza. Udaliśmy się do klasztoru, w którym mieszka proboszcz kapucyn, Włoch, sam jeden na pozór, a obszerny ten klasztor jest jego pomieszkaniem wyłącznem. Odmówił nam jednak przytułku tłumacząc się, że miejsca nie ma. Powód był inny. Ten mnich, jak nam wytłumaczono, niedosć sumiennie zachowuje przepisy swojego zakonu, i pod względem towarzystwa, które u niego gości, wiele ma sobie do zarzucenia, słowem celibat uważa za instytucję niestosowną i niedorzeczną, lękał się więc kontroli europejczyków. Na Wschodzie jednak o przytułek nietrudno dla cudzoziemca. Znaleźliśmy natychmiast pomieszknię u bardzo bogatego Araba, Maronity pana Ouard, właściciela znacznych posiadłości. Wyjątkowo czyste i porządne było nasze pomieszknię, bo tego zataić nie można, że u mieszkańców Wschodu, mieszkania i szaty zazwyczaj tak bywają zabrudzone, jak dziś dusze mieszkańców Zachodu. Tu doznaliśmy gościnności, która wszelkie nasze oczekiwania przechodziła. Nasz gospodarz Arab i jego rodzina, otoczyli nas pieczołowitością niewidzianą, w Europie zaledwo najbliższych serca w ten sposób ugościć umieją. I to proszę sobie niewyobrażać, że ten nasz gospodarz i jego rodzina są to dżicy Beduini z puszczy, owinięci w białe płaszcze, jedzący daktele i pijący kobyle mleko, jakto się w opisach podróży czytuje, lub widuje na obrazkach. Nie, są to ludzie o bardzo miłych formach, bardzo wykształceni, lubo europejskimi nie władają językami, pełni tej uprzejmości i grzeczności, która z serca płynie. Dziwny zwyczaj panuje na Wschodzie. Znakomici mieszkańcy miast, gdy się dowiedzą o przyjeździe cudzoziemców, sami spieszą z pierwszą wizytą. My też mieliśmy zaraz wizyt wiele, między innymi przybył dawny wicekonsul francuski p. Ponce, i teraźniejszy konsul francuski pan Mérelle, człowiek bardzo bogaty, posiadający 18.000 hektarów ziemi koło Antiochii. Wszyscy na wyścigi ofiarowali nam swoje usługi. Pan Mérelle zaprosił nas na wieczór. Po śniadaniu byłem z wizytą u tutejszego gubernatora, bardzo ma to być człowiek wykształcony, ale mówi tylko po arabsku, a dość źle po turecku, musiałem więc z nim rozmawiać za pośrednictwem naszego drogmana p. Mazouillet. Przed pałacem gubernatora widziałem ciekawy sarkofag fenicki, z białego marmuru, z ciekawymi płaskorzeźbami. Znalezione go zeszłego roku w Orontie. Rzadko coś równie pięknego pod względem rzeźby zdarza się widzieć. Wieczorem poszliśmy do p. Mérelle, tam czekał nas obiad, na który zaproszono także gubernatora. Obiad to niebył już orientalny, ale czysto francuski. Apartament elegancki, i o ile dozwalała architektura tutejszych domów, urządzony jakby na ulicy Ste Honorée. Pani Mérelle, paryzanka, osoba przystojna, bardzo miła i nadzwyczaj wykształcona, sprawy polityczne widocznie spoczywają w jej ręku, a mąż jest biernym, posłusznym wykonawcą jej najwyższych rozkazów. Przy niej bawią dwie bardzo przystojne i miłutkie siostrzenice. Obiad był wykwinny, wina francuskie, strugi szampana, stary cognac i wyborne cygara, potem gra na fortepianie i zaimprovizowane tańce. Istne były to niespodzianki, i musieliśmy na ten wieczór zapomnieć, żeśmy na Wschodzie. Poznaliśmy tam Włocha p. Toselli, rządowego inżyniera Wilajetu Aleppo, który jako zamiłowany myśliwy podjął się z nami odbyć wyprawę na Antiochijskim jeziorze i wszystko nam ułatwić. Z wdzięcznością przyjęliśmy oczywiście jego ofiarę, i umówiliśmy się zaraz, by nazajutrz w dalszą drogę wyruszyć.

Dnia 27 Marca wyruszyliśmy dodnia z Antiochii. Pan Toselli postarał się dla nas o namiot, a co najważniejsza, o lepszego psa. Był to kasztanowaty wyżeł angielski, zwany



„Don“, własność bardzo bogatego młodego Araba, któregośmy poznali u p. Mérelle. Z największą gotowością pożyczył nam swego ulubionego wyzła na całą wyprawę. Jestto w swoim rodzaju idealny pies na frankoliny, które są jego wyłączną specjalnością. Tu dopiero doznałem istotnej rozkoszy tego polowania z tym niezrównanym wyzłem. Trzeba wiedzieć, że okolice Antiochii nieobfitują zbyt w te ptaki, i tylko niezwykle zasłudze Dona zawdzięczać, że mieszałem tu na nie tak przyjemne polowania. Z podobnym wyzłem w okolicach Adany i Pajasu każdy myśliwy łatwo byłby mógł mieć co dzień przy torbie kilkanaście frankolinów. Przeprawiwszy się przez Oront, udaliśmy się polując ku wiosce Irligan, niedaleko brzegów jeziora. Tu rozciągają się obszerne błonia, zarośnięte oleandrami i tamarizami, miejscami są trzciny i gąszcze niedoprzebycia, wszystko to poprzerzynane strugami, a gdzieś tam świecą się bagienka. Wspominać nawet niebędę o ilości kszyków, któreśmy tam ruszyli, a do których strzelać niechcieliśmy wcale, zupełnie innej szukając zwierzyny. Don z Bleczką zaczęli szukać po tamarizowych krzakach, w których niezliczone stada pasących się bawołów bardzo polowanie utrudniają. Wyziew piżmowy tych zwierząt bardzo źle działa na węch wyzłów. Zabiliśmy jednak szakala, pięć frankolinów, siedm kszyków, kulona, przepiórkę i jastrzębia, a nasze psy wypędziły z gąszczy pięknego żbika: „*felis chaus*“, którego udało mi się zabiedz szczęśliwie, i zastrzelić na miejscu. Obładowani tak ciekawą i różnorodną zwierzyną, zdążyliśmy na noc do wioski Irligan. Tu ugościł nas Arab, koczownik, żyjący przeważnie z rybołówstwa, tak jak prawie wszyscy mieszkańcy tej wioski. Zauważałem tu, że mieszkańcy okolic Antiochii wcale się różnią co do charakteru od mieszkańców okolic Akbesu i innych arabskich miejscowości, które później spotkałem w ciągu mojej podróży. Tu bowiem dziwna jest mieszanina szczepów rozmaitych. Arabowie pomieszali się z Turkomanami, Ormianami, Czerkiesami i Cyganami. Charakterystyczne cnoty prawdziwego Araba są tu zatarte, a bliskość większego miasta i styczność z nabiegłymi wyrzutkami europejskiego społeczeństwa, dokonały reszty. Widzieć tu się już daje fałsz, chytrość i chciwość, przywary nieznane u czystej krwi Arabów. Nasz gospodarz nazywa się Dager, ma chałupę z chrustu, postawioną na trzy lata tylko, bo jako koczownik po upływie tego czasu musi zmieniać siedzibę. Jestto zagorzały Muzułmanin, ale pomimo tego pokryjomu jada szynkę i słoninę, i pije wino i mastykę.

Dnia 28 Marca. Spędziłem śliczny poranek myśliwski na brzegach jeziora. Rzeceby można, iż Noe po skończonym potopie otworzył okna swej arki i tu ptactwo wypuścił. Cóż to za skarby dla ornitologa! Udałem się z Donem i Bleczką w tamarizowe zarośla i ruszyłem hyenę, ale do strzału przyjść nie mogłem, zabiłem parę frankolinów, zająca, przepiórkę i dwie szafirowe kury wodne (*Porphirio veterum*). Ten rodzaj kury, wielkości łyski, zaliczyć można do rzędu najpiękniejszych ptaków. Jest błękitno-szafirowa, a dziób i łapy koralowe. Z wielką zaciekleścią prześladowaliśmy później te ptaki, tak nas nęciła ich cudna sukienka. Moi towarzysze zabili 2 szakale, 2 frankoliny i kaczkę nieznaną u nas, podobną jest do szarki, ale nieco mniejsza, i dziób ma nadzwyczaj szeroki. Z taką dziwną mozaiką zwierzyny powróciliśmy na śniadanie do naszego taboru. Tam czekało nas wyborne *risotto* i wypoczynek. Wczoraj nabawiłem się bardzo silnej chrypki. Jest to dolegliwość, której często doznaję, skoro mi upał dokuczy. Dziś rano popełniłem na pozór niedorzeczność, bo pomimo chrypki skąpałem się w zimnych źródłach Orontu. Kuracya podobna mogłaby być zgubną w Europie, tu wyleczyła mnie

zupełnie z mego cierpienia. Po wypoczynku wzięliśmy zaimprowizowaną pogonkę i w tamarizowych krzakach zabiliśmy szakala. W jednym z miotów widziałem żbika (*felis chaus*), który przyparty przez pogonkę, wskoczył do kanału Orontu, i przepłynął go szczęśliwie. Żaden strzał go nie dotknął.

Dnia 27 Marca czekaliśmy na łódki, które po nas z drugiego końca jeziora przypłynąć miały. Jedna tylko stała przy naszym brzegu, więc Hulimka z p. Tosellim puścił się nią na spacer na jezioro. Hulimka zabił wodną kurę szafirową, czaplę brunatną, zupełnie odmienną od naszych i jastrzębia. Ja zaś puściłem się sam w towarzystwie przewodnika, młodego Beduina, na obszerne błonia nad Orontem, ażeby zapolować na frankoliny, ulubioną moją zwierzynę. Towarzyszyli mi Don i Blecza. Co też to może dobry przykład! Blecza oczarowana cnotą Dona, tego specjalisty do frankolinów, zaczęła go naśladować, i aż trzy ptaki mi wystawiła, a przecież dotąd obojętnie koło każdej zwierzyny biegała. Don każdego frankolina na znaczną bardzo odległość zwietrzyć musiał, a jeśli ptak zbyt spiesźnie wyciekał, to ścigał go umiejętnie w ten sposób, by go nigdy zbyt wcześnie do porwania nie zmusić. Jeśli się ten manewr nie udał, obiegał go, wielkie opisując koło, i nagał wprost na myśliwego. Zabiłem zająca, trzy frankoliny, dwa jastrzębie i orla bardzo wielkiego, który się niestety pławił nad Orontem. Chociaż niezmordowany Don i heroiczna Blecza rzuciły się za nim w wodę, mętne wprawdzie, ale bystre fale rzeki porwały ptaka, i w tej chwili zapewne, płynie do Oceanu. Mój towarzysz Beduin, niemógł się dość nadziwić mojej iglicówce, szybkości nabijania i odległości strzałów. Sprytny, jak w ogóle wszyscy mieszkańcy Wschodu, łatwo od razu pojął cały mechanizm. Oświadczył mi życzenie strzelenia choć raz z takiej strzelby, na co się najchętniej zgodziłem. Jako cel postawił sobie na krzaku żółwia, istotę nadzwyczaj pospolitą w tych stronach. Biedny Beduin przyzwyczajony do swej janczarki skałkówki, do której daje nabój pistoletowy, a której kolba ma kształt jaskółczego ogona, nieprzeczuwał siły wystrzału z iglicówki. Ukłękł więc, jak to do strzału czynić zwykli wszyscy Arabowie, mierzył bardzo długo, wystrzelił i w cel trafił, ale żółw spadł z krzaka w jedną stronę, a Beduin trącony strzelbą jak długi leżał na wznak na ziemi. Bardzo się śmiał i cieszył z tej swojej przygody.

Nad wsią, w której nocujemy, ogromnych kilka stad pelikanów przeciągało wieczorem. Szum skrzydeł tych ptaków podobnym jest do zawierzuchy. Co żyje, stanęło pod bronią, i nasz han w jednej chwili przemienił się w młyn ognisty. Grzmiały Lancastrowki, Lefauchówki, kapsłówki a nawet skałkówki, ale ani jedno piórko nie spadło. Wysokość była też znaczna, a piersi tych ptaków uzbrojone są w tak twarde pancerze z piór, że je śróty na dalszą odległość przebić nie zdołają. Ilość kszyków, które się tu spotyka co kroku, jest niesłychana. Nieśmiem nawet w przybliżeniu postawić cyfry, do której w mojem przekonaniu dobry strzelec mógłby tu w jednym dniu doprowadzić. My nie strzelamy do nich, bo się lękamy bankructwa z ładunkami. Zresztą polowanie na kszyki, najpojętniejsze dla mnie w Europie ze wszystkich może polowań, nie ma w Azji żadnego uroku. Nie po to bowiem tak długą odbyliśmy podróż, by polować na zwierzynę, którą mamy w domu.

Dnia 30 Marca. Upał niesłychany, istna kanikula! — Tylko grubo okryte zawoje ochraniają nasze głowy od uderu słonecznego. Blisko do południa czekać musieliśmy na łodzie, bo rybacy, łowiący od dni kilku ryby na jeziorze, przez cały ranek swój towar spieniężali i niespieszyli się wcale. To



sześćście, że Anglicy stworzyli przysłowie: „Time is money“, bo Arabowie niebyliby go stworzyli pewnie. Hulimka, Brzostowski, Toselli i ja wsiedliśmy na łódki. Janowski ze strzelcem Hulimki pozostał w garnizonie przy bagażach, a Masouillet po różne płynne i stałe prowianty wyruszył do Antiochii. Osobliwie tych pierwszych potrzeba bardzo czuć się dawała, bo on sam, mając klucz od olbrzymiej, zamykanej flaszki z winem, która była rozmiarów małej beczki, przekonał się w dwóch dniach, iż wino cudem jakimś wyszło do denka, chociaż nikt z nas nie pił ani kropli. Uradziliśmy cichaczem, aby na przyszłość kogoś innego klucznikiem mianować. Blisko cztery godziny w trzech łodziach płynęliśmy pełnym jeziorem. To słynne Antiochijskie jezioro jest prawdziwą skarbnicą dla przyrodnika. Ornitologia była dla mnie od dzieciństwa ulubioną gałęzią historii naturalnej, a lubo niejestem znawcą, tylko amatorem-entuzjastą tej gałęzi, kocham ją niejako platonicznie, jeśli mi się tak wyrazić wolno. Tu miałem więc sposobność użyć nieznanym mi rozkoszy. To jezioro wydało mi się podobnem do jakiegoś olbrzymiego portu, tysiąc razy piękniejszego niżli wszystkie porty miast naszych. Ręka Stwórcy zaludniła je ptactwem, które w miniaturze daje obraz ruchu w portach kupieckich. Niezliczone stada najrozmaitszych gatunków kaczek, jak łódki rybackie, po nad falą latają. Krzykliwe mewy, jak zastęp komisyjnerów i drogmanów, nekają podróżnego wrzeszcząc przeraźliwie. Dalej kormoran, niby szybka fregata, między niemi przemyka, i do lądu od czasu do czasu zawija. Po środku wspaniałe pelikany i śnieżne łabędzie spokojnie kołyszą się na falach, jakby monitory, niezważając wcale na przemykające koło nich drobne statki, ale skoro się zbliży do nich nieprzyjacielska flota (a nasze trzy łodzie były taką flotą), zaraz monitor zrywa kotwicę i na pełny Ocean odpływa. Jezioro Antiochijskie do Oceanu porównaniem być może, ma ono bowiem około 27 kilometrów długości, na 18 szerokości, a otoczone jest równą może powierzchnią szuwarów, łąk i bagien. Znajduje się na niem około 40 wysp większych i mniejszych, częścią zamieszkałych przez rybaków, częścią bezludnych. Wyładowaliśmy na jednej z tych wysp, i rozłożyliśmy namiot, który nam przywiózł p. Toselli. Tu wypadał nam nocleg ze wszech miar oryginalny. Zauważałem, że flora tutejszego jeziora wcale prawie nie różni się od flory naszych stawów. Te same żółte i białe lilije wodne, te same trzciny i szuwały, tylko może nieco wyższe, czego powodem klimatyczna różnica. Jako Robinsony osiadłszy na tej bezludnej wyspie, zaczęliśmy się krzątać około przygotowań do noclegu. Don zawsze czujny, chętny i pracowity, wynalazł trop jakiegoś zwierza, później jamę, i zaczął udawać jamnika. Zwierz jakiś dziwny wymknął z jamy i padł od strzału Brzostowskiego. Zawistnym myśliwym niejestem, ale wyznaję, iż pozazdrościłem mu tej nieznannej zdobyczy. Udałem się pod opiekuńcze skrzydła Dona, i zaklinałem go, by i mnie podobnego wynalazł zwierza. Poczciwy pies znów podążył do jamy, ale w chwili, gdy najbardziej był przejętym swoją rolą jamnika, odskoczył nagle skowyczając, z ogonem w dół i z nosem zakrwawionym. Musieliśmy gwałtowny szturm przypuścić do jamy przy pomocy naszych rybaków, i po chwili wybiegł podobny drugi zwierz, którego czatując nad jamą, zastrzeliłem. Ze zdziwieniem obydwa z Brzostowskim przyglądaliśmy się długo tej nieznannej zwierzynie, a nakoniec przyznawszy się wzajemnie do niewiedomości, postanowiliśmy zaraz zdjąć skóry z tych zwierząt, by je przesłać panu Janowskiemu. Nasi Arabowie wyjaśnili nam wprawdzie, że te zwierzęta w ich języku nazywają się: „Niemce“, i że są bardzo złe. To nas wszakże jeszcze nie

oświeciło, bo i my mamy wprawdzie u nas zwierzęta, które się podobnie nazywają, i także nie są bardzo dobre, ale zupełnie inaczej wyglądają. Później dopiero za pośrednictwem pana Janowskiego dowiedzieliśmy się o prawdzie całej. Otóż te dwa przez nas zabite zwierzęta są to: „Ichnajmony“. Zwierz ten zwany jest także: „Szczur Faraona“. Podobny z kształtów do wydry, tylko innej barwy, bo jest popielaty i ma sierść bardzo ostrą, podobną do szczeciny. Ichnajmon w Egipcie jest zaciętym wrogiem krokodyla, któremu jaja wyjada, uważanym też tam jest za zwierza pożytecznego bardzo. W Syrii krokodyl nieistnieje, a więc ichnajmon żywi się przeważnie jajami wodnego ptactwa, a przedewszystkiem frankolinów, jest więc dla myślistwa największym szkodnikiem. Jest zjadłym i odważnym nie do uwierzenia, skaleczony nos Dona był tego dowodem. Gdy załoga nasza wypoczywała, udaliśmy się we dwóch z Brzostowskim łódkami na spacer na jezioro, i zabiliśmy 4 kury szafirowe, łyskę i dwie czajki z ostrogami. Są one odmiennie ubarwione od naszych, i mają na zgięciu skrzydeł rogowe haczyki podobne do ostrogów. Jeden z najpiękniejszych strzałów, jakie mi się kiedykolwiek widzieć zdarzyło, był na tej wyspie, strzał do ciągnącej mewy, gdzieś bliżej obłoków niż ziemi. Tego artystycznego strzału dokonał Hulimka ze strzelby systemu Lancaster.

Dnia 31 Marca. Wyborny mieliśmy nocleg na naszej wyspie. Dodnia grono naszych Robinsonów wsiadło do czółen, flota wyruszyła w dalszą drogę, bo to dzień cały jeszcze płynąć mamy jeziorem do miejsca, gdzie nam obiecują najciekawsze polowanie. Po drodze strzelano z łódek do pelikanów, łabędzi, do siwych i białych czapli, do karmoranów i innego najrozmaitszego ptactwa, ale że się płynęło ciągle jeszcze czystym zwierciadłem, i rzadko napotykało trzciny, ostrożne ptaki na zbyt wielką porywały się odległość, rezultat tej strzelaniny bardzo więc był nieznaczny. Popas krótki wypadł nam na jakiejś małej wysepce, zkąd udaliśmy się do wyspy drugiej, nieco większej, niemającej nazwy, ale którąby śmiało nazwać można: „wyspą pelikanów“, bo też roje tych olbrzymich białych ptaków okrywały do koła jeziorowe zwierciadło. Od czasu do czasu przeciągały po nad wyspą, wtedy alarm powstawał w naszych szeregach, wszystko co żyło chwyciło za broń, Europejczycy i Arabowie na wyścigi sypali gradem strzał między to ptactwo, które zawsze swoimi twardymi pancerzami odważnie odbijało wszelkie pociski. Jeden tylko pelikan odmiennemu uległ losowi, bo padł trupem ugodzony gdzieś po za pancerz ołowiem któregoś Araba. Dla użytku naszych gastronomów nadmienię muszę, że najbardziej w świecie poszukiwana ryba zwana: „Silure“, zamieszkuje obficie Antiochijskie jeziora. Zapewniają kroniki, że cesarzowie rzymscy, którzy słynęli z gastronomicznych gustów, do uczt swoich tę rybę aż z Antiochii sprowadzali. Tu jest ona tak pospolitą, żeśmy jej mieli zawsze do woli. Niemogę zdać sprawy o jej smaku, gdyż ryba jest mi jedzeniem dość obojętnem, i nieczynię w tem konkurencyi ani wydrze, ani czapli, ale moi koledzy nachwalić się jej niemogli. Podziwiałem zręczność naszych rybaków przy łowieniu ryb. Wiosłując łódką, ma każdy w ręku dość długą lancę zakończoną ostrym bardzo grotem, spostrzegłszy rybę w znacznej nawet głębokości przebijają ją szybkim rzutem lany, i trafia zawsze pod samo skrzeme. Na grot wbijają rybę wyciąga potem z łatwością z wody. Mieliśmy wyborny zaim prowizowany obiad z rozmaitej zwierzyny i z tych ryb tak poszukiwanych, sam Lukullus mógł nam pozazdrościć. Po obiedzie z jednym z rybaków puściłem się łódką na własną rękę na jezioro, i zasiadłem w trzcinach. Bardzo liczne stado



pelikanów przeleciało, ale na niemożliwą odległość, para jedna przeciągała bliżej, strzeliłem bez nadziei rezultatu, tak mi się daleko wydawało, a przecież jeden z tych ptaków z wysokości wielkiej runął na fale jeziora. Bardzo komiczny nastąpił tu epizod. Ptak zbaczony płynął uciekając przed nami, a my przeszło sto kroków goniliśmy za nim łodzią. Dognany nareszcie zatrzymał się, i mężny zaczął stawiać opór. Uderzył gwałtownie kilka razy dziobem o łódkę, a gdy chciałem go uchwycić za szyję, otrzymałem w piersi tak silne uderzenie dzioba, iż zaledwo zdołałem utrzymać się na łodzi. Mój towarzysz rybak pospieszył mi w pomoc, i nacierającego dalej na mnie ptaka chciał uchwycić za skrzydło. Ale mężny pelikan zrobił w tej chwili *coup double*. Ten drugi jego strzał jeszcze był skuteczniejszym od pierwszego, bo biedny rybak podziobany i skrzydłami pobity z łodzi zsunąć się musiał do wody. Tak ten Arab oprócz trzech przepisanych mu przez Alkoran codziennych abluicyi dziś odbyć musiał mimowoli jeszcze czwartą. Trzeba było stanowczo już zakończyć tę walkę, tak nieświeżą dla nas, a świetną dla bohaterskiego pelikana, skoro więc Arab przy pomocy mojej na powrót się dostał do łodzi, kazałem się zatrzymać, a uchodzącego wspaniałego ptaka wypuściwszy na kroków kilkadziesiąt, niktzemnie jakby bandyta włoski z tyłu drugim strzałem dobiłem. Była to jedyna walka, jaką stoczyć byłem zmuszony w ciągu całej mojej Syryjskiej wyprawy. Ten pelikan, bardzo stary samiec, jest okazem niezwykłej piękności i wielkości, niemal łódź całą zajmował. Wcale nie jest podobnym do owych pelikanów, które w Europie widywałem. Śnieżno-biały, szyja i piersi różowe, dziób w pręgi i obwódki błękitne i czerwone, oczy karminowe, a pod szyją i dziobem torba tak wielka, iżby pomieścić mogła, na drobne zmienioną, całą przeszłoroczną intratę niejednego szlachcica w Galicyi. Zabiliśmy więc dwa pelikany, kulona, dwie kury szafirowe i czajkę.

Dnia 1 Kwietnia. Przekonawszy się, że nasze zapasy już są w opłakanym stanie, wystaliśmy łódź jedną za prowiantem na stały ląd, i wszystkie ciekawsze okazy polowania naszego, które p. Janowski miał nam do wypehania przyrzadzić. Sami puściliśmy się w dalszą drogę i godzinami miałem sposobność przypatrywania się nowemu rodzajowi sportu, wykonywanemu przez liczne stada pelikanów. Rybołówstwo bowiem zaliczone jest u nas do sportu, a przeważnie Anglicy wykonują go z zamiłowaniem, i rzec można, iż go już do artyzmu doprowadzili. Widywałem nieraz na okrętach takich synów Albionu, którzy nieruchomi, jakby kariatydy, z wędką w ręku, stali wsparci o poręczę pokładu, i dnie całe tak spędzali, bawiąc się wysmienicie. Sport rybacki, wykonywany przez pelikany, bardziej mi trafia do przekonania. Z daleka przypatrywałem się temu przez binokle z nadzwyczajnem zajęciem. Pelikany we dwóch zwykle te łowy odbywają, jeden czatuje nieruchomo, a drugi ze znacznej odległości, bijąc skrzydłami po wodzie, ryby na niego napędza, przeważnie na miejsc dość płytkie. Przyczajony na swem stanowisku pelikan chwytą podpływającą pod niego zdobycz, poczem towarzysz, który mu służył za pogonkę, szybko przypada i żąda podziału. Bez gniewu i zajęć osobistych tu się już nigdy obejść nie może, lecą gęste razy zadawane dziobem i skrzydłami, ale nareszcie dział się skutecznie, poczem zmieniają się role, myśliwy idzie na pogonkę, a ten, który był pogonką, staje się myśliwcem. Z takiej to chwili skorzystać powinien strzelec, by podjechać te zazwyczaj tak ostrożne ptaki. Wielką popełniłem niedoręczność w tej ostatniej wyprawie, oto nie sądziłem, ażeby sztuciec express mógł nie być potrzebnym na jeziorze, i zo-

stawilem go w Antiochii. Byłem więc zmuszony śrótem strzelać do pelikanów i kaleczyć tylko te szlachetne ptaki. Trudno sobie wyobrazić piękniejszego polowania, jak sztuczny i umiejętny podjazd pelikanów i łabędzi na jeziorze, i do nich strzał sztucowy na znaczną odległość. Pojedyncze pelikany zwłaszcza, gdy są zajęte rybołówstwem, z łatwością na odległość 100 do 150 kroków zjechać się dają. Zgromadzone w liczne stada już są zazwyczaj czujniejsze. Z braku sztucca tej przyjemności użyć nie mogłem, ale zalecam jak najusilniej ten rodzaj sportu każdemu z myśliwych, któryby się kiedykolwiek znalazł w położeniu polowania na pelikany. Jest tu ciekawy rodzaj kormoranów, właściwych tylko tej okolicy. Są one czarne, wielkości prawie gęsi, tysiącami gnieźdzą się na jeziorze, ale tak są ostrożne, iż z trudnością największą tylko podjechać się dają, a przeciągają i krążą nadzwyczaj wysoko, nazywają je tu: „Kara-batta“. Nie mniej ciekawym jest też śród niewiedzie wielu rozmaitych gatunków kaczek jeden nadzwyczaj piękny. Jestto rodzaj krzyżówki, barwy biało-srokatej, a głowa i szyja jest koloru karminowego, jakby głowa szczygła. Tak jednak ostrożne są te kaczki, iż mimo wszelkich starań nieudało nam się ani jednej dostać, ażeby tak ciekawym okazem wzbogacić nasze zbiory. Wprawdzie jedna taka kaczka padła od strzału Hulimki, ale zanim łódź dopłynęła już kaczka była pod wodą. Poszukiwania i nurkowania na nie się nieprzydały. Wprawny nurek potrafi perły i korale wydobyć z dna morskiego, ale niepotrafi pewnie postrzelonej nurkującej kaczki wydobyć z jeziora lub stawu. Ładując na jednej z małych wysep, które były na naszej drodze, Hulimka zabił na *coup double* dwa ichnajmony. Ja zabiłem dziwnego ptaka, należącego do rodzaju „Kara-batta“, ale zupełnie odmiennego od owych, któreśmy dotąd widywali. Jest on wielkości kaczki krzyżówki, czarny, tylko pierś biała, centkowana, szyja niesłychanej długości, zakończona małą główką i drobnym dziobem, nadającym ptakowi podobieństwo do gadziny. Głowa i szyja nie pierzem, ale puchem pokryta, ogon bardzo długi, wachlarzowaty, podobny do ogona bażanta. Później sam Janowski nie umiał nam nazwać tego ptaka i oświadczył, że to rodzaj całkiem mu nieznan. Odesłał go też natychmiast do Muzeum Londyńskiego. Zabiwszy jeszcze po drodze 10 kur szafirowych, 2 czaple, 2 kara-batty, 2 kaczki i 1 ponura, zawinęliśmy na nocleg do większej wyspy, zwanej: „Kasse“, zamieszkałej przez rybaków. Była tu niegdyś kupiecka kolonia Wenecka, i widać tu jeszcze ślady obronnego portu i zwaliska starego zamku. Widok stąd bardzo piękny na wzgórze, przez które prowadzi przez Rzymian jeszcze zbudowany gościniec, i na tak zwany: „Most żelazny“. Teraz jestto droga, którą wszystkie karawany udają się do Aleppo. Na dziś jakoś obiad nasz poszedł w zapomnienie, bo widząc smutny stan zapasów kuchennych, Brzostowski wcale o nim nie wspomniał, a myśmy także milczeli. Wieczera prawdopodobnie byłaby jota w jotę podobną do obiadu, gdyby nam w pomoc niebyli przyszli rybacy, ofiarując nam potrawę zwaną: „kubyl samak“ (ciasto z ryb). Sam Lukullus na bankietach swoich podobnego przysmaczka niejadał. Może być, że ten kubyl samak tylko na wyspie Kasse taką się delikatesą wydaje zwłaszcza w warunkach, w jakich my znajdowaliśmy się w tej chwili, tego nie wiem, ale zaręczyć mogę, że jestto jedna z najsmaczniejszych potraw, jakie kiedykolwiek spotkałem. Gastronomom naszym, którzy z kuchennego ogniska ołtarz sobie utworzyli, dla których kuchmistrz jest arcykapłanem i nad wszelkie wiedze przenoszą wiedzę kulinarnego zawodu, śmiałbym polecić, by przez kilkanaście godzin w podobnych warunkach przejechali się po



Antiochijskiem jeziorze, a potem na wieczrę zjedli kubył samak. Zaręczam, iż użyją takiej gastronomicznej rozkoszy, jakiej dać im niezdolają wszystkie najwykwintniejsze kuchnie europejskie.

Dnia 2 Kwietnia. Odbiliśmy wyprawę do Gülparsi, ostatniego krańca Antiochijskiego jeziora. Na hańbę moją opowiedzieć muszę ciekawe zdarzenie, które mnie spotkało. Gdy wsiadać mieliśmy na łódki, jeden z Arabów donosi mi, iż widział siwego sępa, który usiadł na skałę w pobliżu naszego namiotu. Uchwyciłem strzelbę i zakryty odłamami skał podszedłem szczęśliwie ptaka, może na 25 kroków. Wymierzyłem bardzo spokojnie i wystrzeliłem. Któżby wierzył, że ptak zupełnie zdrów odleciał, i piórka nawet nie uronił, a przecież na taką odległość w tak wielki przedmiot i kamieniem trafić nie byłoby sztuki. Stałem długo zdziwiony i pomieszany, niemożąc sobie z tego zdać sprawy, i niemyślałem już o drugim strzale. W uszach dzwonił mi tylko szum skrzydeł chybionego ptaka, i głośnie wybuchy śmiechu Arabów i kolegów moich, którzy świadkami byli tej mojej niefortunnej przygody. Wypłynęliśmy na jezioro i dzień cały błakaliśmy się po szuwarach i oczeretach, od czasu do czasu ładując dla wypoczynku, na wyspach porozrzucanych. Dla mnie tego rodzaju wyprawa miała jakiś urok niezwykły, ale moich kolegów to nudziło i ciągle na coś narzekali. Na znaczną odległość zabiłem strótem pelikana, ale o wiele mniejszego, niż pierwszy, zupełnie też inaczej był ubarwiony, niemiał bowiem różowej szyi i piersi, ale był srebrno-biały. Prócz tego postrzeliłem jeszcze dwa pelikany, które gdzieś daleko upadły w szuwały, a dojechać po nie było rzeczą niemożliwą. Zabiłem też białą czapkę i kilka kur szafirowych. Tylko do rzadkiej i niezwykłej strzelałem zwierzyny, lękając się ciągle, by mi niezabrakło ładunków, a zresztą, jak już mówiłem ciągle strzelanina do zwykłej zwierzyny nie ma dla mnie uroku. Na nocleg powróciliśmy do tej samej wyspy, i przywieźliśmy 1 pelikana, 2 białe czapki, 1 kara-bettę, 2 kaczki, 9 kur szafirowych, 1 kulika, 1 orła, 2 jastrzębie, 3 łyski i mewę.

Dnia 3 Kwietnia opuściliśmy naszą wyspę, i popłynęliśmy na oślep środkiem jeziora na powrót, w nadziei, że spotkamy się z łódką do Antiochii wysłaną po niezbędne zapasy. Wedle obliczeń naszych ta łódka dopiero nad wieczorem powrócić mogła. Zasoby nasze zupełnie były wyczerpane, i już nie było ni chleba, ni wina, ni tytoniu. Wyruszyliśmy jednak odważnie pod znanem naszym polskim godłem: „Jakoś to będzie”. Szlachetnie polski nigdy nie wątpi, i liczy na swoją gwiazdę szczęśliwą, choć ta gwiazda zawsze go zwodzi, on w nią wierzy jednak zawzięcie. Dziś tem bardziej jeszcze utwierdzeni jesteśmy w tej wierze. Naszą gwiazdą szczęśliwą była uprzejmość pani Merelle i zapal naszych wioślarzy rybaków, wysłanych wczoraj. Niepojmuję, jakim cudem już przed południem, spotkaliśmy na pełnym jeziorze naszą flotyllę powracającą z Antiochii z prowiantem, zdolnym wyżywić armię turecką sześćkroć od naszej liczniejszą. A już bardzo źle było z nami, mieliśmy bowiem już tylko ze sobą dwie kaczki wczoraj zabite, mnóstwo skór z ptaków przygotowanych do wypchania, a jako jedyne pożywienie parę arkuszy arabskiego chleba. Jestto rodzaj macy, coś na wzór żydowskiej, a bardzo do zwykłej bibuły z kształtu i ze smaku podobnej. Po przekąsce odbytej na łódkach, po licznych toastach, wzniesionych wybornem francuskim winem na cześć naszej uprzejmej, choć nieobecnej chlebobawczyni pani Merelle, puściliśmy się w dalszą podróż. Zabiliśmy jeszcze po drodze 1 kaczkę, 2 białe czapki a jedną szarą, 6 kur szafirowych i 1 jastrzębia.

Dnia 4 Kwietnia. Po noclegu odbytym w namiotach na przylądku ciągnącym się klinem w głąb jeziora, popłynęliśmy dalej. Po drodze strzelano ciągle do łabędzi, pelikanów i innego ptactwa. Łódka, która przybyła z prowiantami przywiozła i sztuciec dla Hulimki. Przepływając koło wysepki, która mieć mogła zaledwo morg jeden powierzchnię, ruszyliśmy tam w oczeretach dzika. Do najbliższego ładu jest tu najmniej pół mili. Ciekawa rzecz, co ten dziwak mógł na tej wyspie porabiać! Czy to pustelnik znudzony światem i szukający samotności, czy dobrowolny nowy Robinson, bo przecież rozbicie okrętu nie mogło go przypadkowo w takie położenie wprowadzić, w każdym razie był to szczególny jakiś oryginał. Łódkami otoczyliśmy wyspę, i w nich staliśmy na stanowiskach. Było to najoryginalniejsze w swoim rodzaju stanowisko na dzika, ale polując na takiego oryginała oryginalnych trzeba było użyć środków. Zaimprovizowana pogonka przegoniła zarosła, ale niestety zwierz przez nieobsadzone jeszcze stanowisko umknął z wyspy, i w postaci wieloryba gdzieś w dal na jezioro popłynął. Gdy nam się tak niepowiodło polowanie na tego dzika, należącego widocznie do rodzaju amfibii, po dwugodzinnej może podróży ujrzeliśmy w dali na jeziorze nową wyspę, okrytą śniegiem. Długo niemożliśmy sobie zdać sprawy z tego widoku, daremnie też badałem go za pomocą binokli, gdy jeden z rybaków oświadczył, że to jest stado pelikanów. Niechcieliśmy temu oczywiście dać wiary, aż zbliżywszy się jeszcze przekonaliśmy się o prawdzie tego twierdzenia. Widywaliśmy tu nieraz nadzwyczaj liczne stada pelikanów, bywało ich razem po parę set sztuk, ale o tak liczny zastęp nie mieliśmy pojęcia. Zrobiliśmy krótką radę wojenną, i postanowiliśmy łódkami o ile możności okrążyć tę białą wyspę, a Hulimka uzbrojony w sztuciec miał walkę rozpoczynać. Zbliżyliśmy się na niespełna 200 kroków, i Hulimka dał ognia dwa razy a nabiwszy powtórnie sztuciec, strzelił jeszcze w zrywającą się ciągle nieprzyjacielską kolumnę. Szum skrzydeł tych zastępów nie do opisania, biała chmura tego ptactwa zaległa widnokrąg. Cyfry nawet w przybliżeniu postawić nieśmiem, boby wyglądać musiała na przesadę. Trzeba było to widzieć własnymi oczyma, aby uwierzyć. Jeden ptak przeszyty kulą leżał na falach jeziora. My wszyscy na rozpaczliwą odległość strótem niestety ostrzeliwaliśmy bez końca ciągnącą kolumnę, nabijaliśmy nasze odtyleówki i strzelali znowu. Niewiem już, ile strzałów padło, ale wszystko bez skutku. Jeden tylko ptak oderwał się od kolumny i bardzo gdzieś daleko upadł między szuwały. Gdybyśmy byli uzbrojeni w sztucce, byłaby mogła nastąpić istna rzeź niewiniątek. Przez Hulimkę zabity pelikan zupełnie odmienny od tych, któreśmy dotąd zabili, jest o wiele mniejszy, srebrno-biały i bardzo rzadki, jak nam później oświadczył pan Janowski. Zabiliśmy prócz tego brunatną, piekną i bardzo rzadką czapkę, parę czajek i mewę białą.

Nocowaliśmy dnia 5 Kwietnia znowu w wiosce Irligan, w tej samej chacie, w której już dwa odbyliśmy noclegi, i tak zakończywszy nasze łowy na owem jeziorze, którego pamięć na zawsze miłą mi pozostanie, powróciliśmy konno do Antiochii. Synowie naszego gospodarza wyjechali naprzeciw nas, ale na nieszczęście skrzyżowali się z nami śród drogi. Niedaleko bramy Świętego Pawła, głównego wjazdu do miasta, gdzie pod cieniem platanu olbrzymiego urządzono kawiarnię, w której posililiśmy się kawą. spotkaliśmy pana Mérelle, który ze swym Kawasem wyjechał po nas i zaprosił na śniadanie. Szaty nasze po ostatniej naszej wyprawie w takim były nieładzie i tak poszarpane, iż najbiedniejszy Beduin na puszczy, najbardziej obdarty Derwisz, byłby przy nas jak magnat wyglądał.



Smutnymi byliśmy reprezentantami owych ludów, które cywilizację Zachodu do barbarzyńskiego Wschodu niosą. W strojach naszych pokazywać się w damskim towarzystwie było rzeczą niepodobną, źle wyglądaliśmy, nawet między półnagimi Arabami, a przecież wymówki wszelkie na nic się nie przydały, porwano nas siłą, i w pomieszkaniu Państwa Mérelle dopiero mogliśmy nasze szaty przemienić. Potem nastąpiło wesołe śniadanie, które się przeciągnęło aż do wieczora i zakończyło tańcami. Uprzejma pani domu zaprosiła nas na jutro na wiejskie śniadanie, miało się ono odbyć przy sławnej tutejszej „Żelaznej bramie“. Pan Ouard, który tak serdecznie ugościł nas w swoim domu, podczas niebytności naszej zachorował na febrę, która tyfoidalny początek przybierała charakter. Kuracja przepisana mu przez tamtejszego lekarza aleopatę nie tylko cierpienia nieusunęła, ale choroba przeciwnie coraz groźniejsze przybierała początek rozmiary i pogorszenie było widoczne. Rodzinę jego całą zastaliśmy bardzo zaniepokojoną i bliską rozpacz. Od dawna oddają się nauce Homeopatii i nabyłem w tem nieco wprawy tak, iż wiem, jakie w niejednym wypadku zadawać należy leki. Zadałem też homeopatyczne lekarstwo pacjentowi, którego w ciągu nocy zaraz silne oblały poty, gorączka ustała, słowem niebezpieczeństwo minęło, febra opuściła go bezpowrotnie, i do dni kilku był zdrow zupełnie. Dnia tego jeszcze byliśmy na wieczery u rodziny naszego gospodarza p. Ouard. Umyślnie dla nas sprowadzono kucharza Włocha, podano nam najwykwintniejsze potrawy, na jakie się tylko zdobyć mogli, toastów było bez końca. Poczciwa ta rodzina czyniła co mogła, by nam pobyt uprzyjemnić.

Nazajutrz dnia 6 Kwietnia rano udaliśmy się do państwa Mérelle, gdzie wraz z gospodarzem domu, jego małżonką, milutkami jej siostrzenicami i panem Toselli wyruszyliśmy do Żelaznej bramy. Mało się widzi coś tak uroczego, dzikiego, a malowniczego zarazem. Żelazna brama w gruzach, ale nad tymi gruzami ulatują w wyobraźni naszej dzieje Bizantyńskiego Państwa, tak straszne jak ta przyroda, która te gruzoty otacza. Tyle wieków składało się na to, ażeby piętno zniszczenia wycisnąć na tej bramie, a jeszcze im się to całkowicie nie udało, jak nie udało się im zatrzeć pamięci unoszących się nad nią dziejów, tylko je utopiły w mgłę gęstej, podobnej do mgły owej, która szczyty skał bazaltowych co wieczora tu kąpie i przed okiem widza osłania. Stada orłów i sępów unoszą się dziś po nad wodociągami i gruzami murów dawnej twierdzy. Może to duchy owych orłów wojen Krzyżowych, co tu ponieśli życie, a z których, jako pożytek dla przyszłości, pozostała tylko zapisana w dziejach karta, na ich cześć i wspomnienie. Naszkicowałem sobie na pamiątkę ową Żelazną bramę. Praca to oczywiście nieudolna, ale trudno pracować wśród wrażeń tak silnych. Przeszkadzały mi ciągle wspomnienia Tankreda, Gotfryda i innych bohaterów, a bardziej może jeszcze rozmowa i zaglądania ciągle do mego Albumu naszej miłej gospodyni i jej siostrzenic. Gdy z nieudanym szkicem moim dałem za wygrane, i zamiast zarysów Żelaznej bramy zacząłem już szkicować profil pani Mérelle, uchwalono, by przerwać artystyczne posiedzenie, i udać się do kaplicy Śgo Piotra. Po dość trudnym pochodzie przez góry, gdzie nasza polska kolonia cudów gimnastycznych dokazywała, by piękne nasze Paryżanki bez szwanku przeprowadzić przez strone ubocza i skaliste parowy, dostaliśmy się do owej słynnej kaplicy. Tam to pierwszy apostoł chrześcijaństwa odprawiał nabożeństwo. Widne dotąd wykute w skale miejsce na ołtarz i zakrystię. Po prawej od ołtarza wytryska źródło, któremu lud tutejszy uzdrawiającą przypisuje władzę, festony rozmaitych pnących roślin fanta-

stycznie są nad niemi zawieszane i kąpią swoje listki. W tej kaplicy wiele widać śladów późniejszej budowy, ale te żadnego wzbudzić nie mogą podziwu. Najciekawszą jest sama grota, wyciosana w skale, ołtarz i to cudowne źródło. Sześć kolumn ciosowych, na których się wspiera sklepienie kaplicy, już są z czasu wojen krzyżowych. Ołtarz z białego marmuru z czasów jeszcze późniejszych, marmurowa czarna nad nim płyta z wspomnieniem papieża Piusa IX., wszystko są to dodatki, które psują wrażenie całości. Czemuż ludzie nie zostawili tej groty, tej zakrystyi, tego kamiennego ołtarza i tego źródła w tym stanie, w jakim je zostawił pierwszy apostoł chrześcijaństwa, pocóż je było nowożytnymi szpecić ozdobami?

Dzień 7 Kwietnia był dla mnie dniem niezwykłego tryumfu. Po zadaniu moich leków febra opuściła szczęśliwie naszego gospodarza, a udało mi się także wyleczyć jego żonę z silnego bólu zębów. Wieść o tem po całej Antiochii rozniosła się stógębna fama. Stałem się od razu sławnym z Europy przybyłym lekarzem. Jest tu wprawdzie lekarzy aż dwóch, jeden Włoch, drugi Amerykanin, ale żaden z nich z pewnością żadnej akademii medycznej nieodwizdał. Eskulapom tym zaprzeczają nawet, że są chirurgami, pijawki i ustawiczne puszczenie krwi, oto ich *régime* jedyny. Opowiadano mi, że jeden z nich choremu na tyfus tak silną dozę krwi upuścił, że ten chory pod lancetem zmarł. Moja kuracja wywołać więc tam musiała niezwykle wrażenie. Febrę w tej porze roku bardzo panują w Antiochii, chorzy zaczęli się więc zchodzić używając protekcyi synów naszego gospodarza, i zasięgali mojej lekarskiej rady. Skuteczność środków homeopatycznych zadawanych na febrę jest dowiedziona. Znam środki, które się zadaje, nie więc dziwnego, że długo leczenia, a raczej nieleczenia wcale przez lekarzy antiochijskich pacjenci odzyskali zdrowie. Pół-biedy jeszcze, pokąd szło o febrę, ale moja sława lekarska do takich urosła rozmiarów, że było wyraźne obłężenie przed drzwiami naszego domu. Chorzy zchodzili się z różnych stron, by się radzić cudownego lekarza. Nieumiejąc mówić po arabsku, musiałem rozmawiać za pomocą tłumacza, a tej roli, z uprzejmości podejmował się po kolei to p. Tosselli, to znów p. Ponce, syn konsula francuskiego. Naprawdę się wyprasziałem, oświadczając, że lekarzem nie jestem, pacjenci zaklinali, bym ich leczył, skoro już tyle mi się udało cudownych zrobić tam kuracyi, bo swoim lekarzom nie ufają wcale. Tak miewałem po kilkudziesięciu pacjentów i pacjentek dziennie. Radzono mnie się w chorobach, o których istotnie nawet pojęcia nie miałem, a gdy kogo odsyłał do miejscowego lekarza, odpowiadano mi zawsze, iż mi trzykroć więcej zapłacą niż tamtym, byłem ich tylko leczył. Gdy się jeszcze przekonano, że za moją kurację nie przyjmują zapłaty, to podziw nie miał już granic. Panie ofiarowały mi jako honorarium bukiety z najpiękniejszych kwiatów i łaskawe spojrzenia, stokroć miłsze, niż największe honorarium lekarskie. W rzędzie moich pacjentek przybyła także jedna Turczynka, przyprowadzona przez swego ojca, a chora na febrę. W obec chrześcijan niewolno Turczyńkom zrzucić z twarzy zasłony, z wyjątkiem lekarza. Chociaż świadkiem moim Bóg i mój tłumacz p. Toselli, że z góry oświadczył, iż lekarzem nie jestem i wymawiałem się od kuracyi, sam ojciec zdjął zasłonę z twarzy córki, ale p. Toselli jako tłumacz a nie lekarz do drugiego pokoju wyjść musiał. Była to skusna ojcowska kokieteria, Turczynka w istocie bardzo była piękną. Tak to, dzięki Hannemana nauce, doszedłem do zaszczytu widzenia na legalnej drodze odsłoniętego oblicza Turczynki. Jak tu nie wierzyć w homeopatję? Febra mojej pięknej Turczynce szczęśliwie nie powróciła. Nazajutrz ojciec



przybył do mnie z podziękowaniem, błogosławił mi w imię Proroka, i wręczył śliczny bukiet przysłany mi przez pacjentkę. Gdy szedłem z wizytą do państwa Merelle, zabiegła mi drogę jakaś stara kobieta Arabka, niosąc na rękach córeczkę, piękną jak anioł dziecinę, bardzo chorą i błagała o pomoc. Niewiem co brakowało temu dziecku, pomimo pomocy tłumacza zrozumieć nie mogłem. Serce mi się krajało, że biednej dziecinie pomóc nie mogę, i odesłałem ją do miejscowego lekarza. Biedna matka mi oświadczyła, że wie dobrze, iż dziecko jej zaraz by umarło, skoroby je zaniósła do lekarza miejscowego Włocha lub Amerykanina, a jeśli cudowny lekarz europejski niechce jej kurować, to dziecko zginie. Cóż było robić, by uspokoić biedną matkę, zadałem choremu dziecku akonitu na gorączkę, która była bardzo silną. Nazajutrz przybyła matka z córeczką i przyniosły mi bukiet z podziękowaniem, córeczka szczęśliwie wyzdrowiała. Wezwany byłem do ciotki naszego gospodarza, tam zastałem śliczne jej trzy córeczki, z których dwie były chore na febrę. Apartament z przepychem umebłowany w orientálním stylu, wszędzie marmury, mozaiki i pyszne perskie dywany. Panny wychowane w zakładzie naukowym w Beyrucie, bardzo wykształcone, mówiące europejskimi językami, tłumacza nie było więc potrzeba. Pacjentkom zadałem lekarstwo na febrę, i nie wiem co się dalej stało. Przyprowadzono mi raz człowieka pięćdziesięcio-letniego Araba, a gdym zapytał jaką czuje dolegliwość, odpowiedziano mi, że nie widzi. „A więc jest ślepy?“ zapytałem. — „Tak jest“. — „A od dawna?“ — „Od urodzenia“. — Około 80 pacjentów przybyło do mnie jednego dnia. Cóżby to było za pole do popisu i droga do bogactw dla prawdziwego lekarza! Nareszcie ta moja praktyka lekarska, któraby była mogła uszczęśliwić każdego rzeczywistego Eskulapa, zaczęła mnie na dobre niecierpliwieć. Zacząłem się chować przed moimi pacjentami, jakby pies przed muchami, a moi towarzysze serdecznie śmiali się z moich kłopotów. Dopiero nasz wyjazd z Antiochii kres położył mojemu mimowolnemu medycznemu zawodowi.

Nastąpił on dnia 9 Kwietnia. Nasi pocziwi znajomi zegnali nas ze łzami w oczach, jakby bliskich krewnych, a starszy syn naszego gospodarza, p. Ouard i młody p. Ponce, syn ex-konsula francuskiego, postanowili odprowadzić nas do Alexandretty, a to dwa dni jazdy konnej. Kajmakan tutejszy przysłał nam swego Kawasa, jako eskortę, a gdyśmy się wymawiali, oświadczył, iż jest obowiązkiem jego tak uczynić względem podróżnych posiadających firman sułtański. Noc spędziliśmy znowu w czarownym Bejlanie. Bardzo byłem szczęśliwy, że tę uroczą miejscowość raz jeszcze oglądać mogłem. Spotkaliśmy tam dwóch podróżujących Czechów, powracających z Aleppo. Nazajutrz rano przybyliśmy do Alexandretty, gdzieśmy się udali na pokład rosyjskiego statku „Nahimow“, udającego się do Beyratu. Porządek na tym statku jest wzorowy i uprzejmość wielka. Chociaż morze było dość spokojne, moi dwaj towarzysze podróży chorowali przez noc całą. Do dnia zawinął statek do Lattakii, ostatni to cel mojej podróży. Ze wszystkich towarzyszy moich, którzy jak listki jesienne po kolei odpadali od naszej wyprawy, w miarę jak wiał na nie wiatr azyatycki, niosący znużenie i demoralizację, dwóch jeszcze pozostało: Hulimka i Brzostowski. Nielicząc Janowskiego, który jako przywykł do tutejszego klimatu i niewygód, wszystko mężnie znosić umie. Otóż niestety w porcie Lattakii i tych dwóch ostatnich, przybyłych z Europy towarzyszy pożegnać musiałem. Odpłynęli oni bowiem prosto do Beyratu, a ztamtąd do Palestyny. Stało się to, co przewidywałem, że ja sam jeden myśliwy europejski na Syryjskich

wybrzeżach pozostałem. O odwrocie weale jeszcze myśleć nie chciałem, gdyż do zakreślonego przezemnie programu brakował jeszcze szakal i antylopa. Bez tej zdobyczy postanowiłem nie wracać do Europy. Lattakija, dawna Laodicea, dziwne sprawia wrażenie. Jestto przecież jedno z najodleglejszych miast Wschodu, stara dziejowa arystokratka, a ma pozory europejskiego dorobkiewicza. Niewiem dla czego zrobiła na mnie wrażenie eleganckiej damy z Zachodu, która z kaprysu tylko fezem wschodnim okryła głowę wiedząc, że jej z tem będzie do twarzy. Lattakija jest bez zaprzeczenia jedynem może eleganckiem miastem na Wschodzie. Umarła stara Laodicea, a pozostały po niej pamiątki w postaci bram tryumfalnych, gruzów starych świątyń i baszt starożytnych zamków, dziś młoda zalotnica Lattakija cierpi tylko w swoim muzeum, a sama mieszka w wykwintnym przystrojonym buduarze. W istocie Lattakija jest jedynem może miastem na Wschodzie, gdzie europejski komfort zlał się w pewną harmonię ze zbytkiem Wschodu. Niezwykły widok przedstawia to miasto, czyste, z szerokimi ulicami, opasane wiankiem ogrodów cytrynowych, granatowych i pomarańczowych; z portem obszernym, w którym nieustający rach panuje. Okolice przytem czarownie piękna, i klimat najzdrowszy. Niedziw więc, iż bardzo wiele rodzin europejskich, skazanych na życie na Wschodzie, tę sobie oazę za siedlisko obrały, i już drugim i trzecim żyjąc tu pokoleniem zapomniały o swej dawnej ojczyźnie i z dumą się głoszą Lattakijskimi obywatelami. W istocie europejskie towarzystwo ma tu świetnych przedstawicieli. Konsulowie wszystkich państw europejskich są tu zebrani, wszyscy prawie ludzie bardzo majątni, żyją tu z przepychem i bardzo wykwintnie. Podczas mego kilkotygodniowego pobytu w tem mieście miałem sposobność przekonać się o tem, będąc tam codziennym prawie gościem. Pałace konsułów panów Geoffroy, Lanus i innych zachwycaly mnie urządzeniem i elegancją. Śliczne mozaiki, białe i czarne marmury, meble pokryte perskimi dywanowami materjami, werandy przemienione w ogrody najrzadszych krzewów i kwiatów, a wśród nich aquaria z wodotryskami, wszystko to składa się w dziwnie harmonijną i imponującą całość. W niczem też nie ustępują im pomieszkania miejscowych mieszkańców bogatych Arabów, którzy co do form towarzyskich w niczem nieustępują Europejczykom, mówią naszymi językami i są to ludzie bardzo wykształceni. Pierwszy raz w Lattakii poznałem życie Wschodu w całych jego dodatnich formach. Niedziw więc weale, że przed laty przyjaciel mój serdeczny, a znany artysta muzyk Władysław Tarnowski, będąc w Lattakii, powziął był zamiar po skończonej swej podróży tamże powrócić i zabawić czas dłuższy, by w tej czarującej miejscowości zaczerpnąć natchnienia i zasobów do prac dalszych. Niestety! śmierć przedwczesna nie dała mu urzeczywistnić tego zamiaru. Zamieszkałem w konsulacie hiszpańskim, w domu państwa Karolów Brzozowskich, gdzie prócz staropolskiej gościnności zastałem jeszcze i elegancję francuską. Pani Karolowa pochodzi z francuskiej rodziny, ale urodzona w Syryi, jestto osoba bardzo miła i wykształcona. Tu dopiero dowiedziałem się, że wypadek, który miał Kara Audzi podczas powrotu naszego z Akbes, o wiele groźniejsze przybrał rozmiary niż nam się z razu wydawało. Dostawszy się nareszcie do Alexandretty i wsiadłszy na pokład francuskiego statku, zawezwał tamtejszego lekarza, który uznał, iż dwa żebra są złamane. Obandażowanego starannie odwieziono do Lattakii. Zastałem go bardzo jeszcze cierpiącego, i z początku w dalszych moich wycieczkach myśliwskich niemógł mi towarzyszyć. Niebędę czytelników nudzić szczegółowym opisem tych wypraw



moich, które w promieniu około Lattakii przez miesiąc jeszcze odbywałem. Były to już wycieczki moje osobiste, nienależące do wyprawy Syryjskiej, podjętej przez całe nasze towarzystwo myśliwskie. Moi towarzysze mnie opuścili i sam tylko pozostałem. W tych wycieczkach towarzyszył mi z początku tylko p. Janowski, a czasem panowie Geoffroy i Michel, później Kara Audzi. Nieodstępny moim towarzyszem był młody chłopiec Arab George Matta, sierota wychowany przez zamieszkałego tu pułkownika angielskiego pana Pollard, sławnego myśliwego. Chłopiec ten wychowywał się z jego dziećmi, towarzyszył mu we wszystkich myśliwskich wycieczkach i nauczył się po angielsku. Później, gdy pułkownika powołano do Indyi, biedny sierota pozostał bez opieki. Przydano mi go do pomocy w moich wyprawach. Tu chłopczyna dał mi dowody niezwykłego sprytu, poczciwości i odwagi, i tak się do mnie przywiązał, że mnie już opuścić nie chciał, i żadnych niestawiając warunków, zażądał, bym go wziął ze sobą do Europy, by przez całe życie ze mną już pozostać. Śmiało mogę powiedzieć, iż niespotkałem dotąd chętniejszego, uczciwszego i bardziej przywiązanego sługi. W krótkości nadmienię, iż w ciągu tych wypraw moich udało mi się zdobyć: 2 antylopy, 1 wilka, 5 szakali, 1 żbika (*felis Chaus*), którego zabił Janowski, kilka zajęcy, 1 frankolina, 36 przepiórek, 10 chruścieli, 1 orla i kilka jastrzębi. Wspominał już Kara Audzi w liście swoim pisanym do Redakcyi „Łowca“, o strzale moim do wilka goniącego za stadem antylop. Padł on na miejscu na odległość 217 kroków, przeszyty przez komorę kulą expressa z pracowni Wiśniowieckiego. Był to w istocie najpiękniejszy strzał, jaki mi się kiedykolwiek zrobić udało.

Wspomnieć tu muszę jeszcze tylko o rodzaju polowania, którego opis nie jednego z braci moich w Nemrodzie nieraz z pewnością niemało zaciekał, a którego zaznawszy do przesyty tu najdokładniejsze mogę zdać sprawozdanie. Jest to polowanie z sokołem. Widywałem nieraz na starych rycinach, i czytałem o tem tylokrotnie. Walka sokoła z czapłą należała niegdyś do pierwszorzędnego sportu. Niewiem jak się te walki niegdyś odbywały, ale opisuję te polowania, jak się odbywają dzisiaj w tej części Syryi, która jest „*par excellence*“ krajem sokolnictwa. Pewnie nie ma drugiej okolicy w świecie, gdzieby się więcej zajmowano polowaniem z sokołami, jak w Lattakii Aleppie, Diarbekirze i t. d. Lattakija, położona nad zatoką morską, okolona rozległą pustynią, której kres stanowią góry z najwyższym szczytem góry Cassius, przez Arabów zwanej Dzebel-Akra, nad rzeką bagnistą Nahr-el-Kybir, łączy wszelkie warunki myśliwskiego Eldorado w sobie. To też zimowe ciągi słonek bywają tam bajeczne. Z opisów przysyłanych do „Łowca“ mogli się o tem czytelnicy przekonać. Inne ptactwo przeciągające również tam zapada w ilości, o jakiej my biedni mieszkańcy północy pojęcia nawet nie mamy. Nieprzwykli do broni palnej, a zresztą najgorsi strzelcy w świecie Arabowie wyłącznie tu odbywają polowania z sokołami na to wędrowne ptactwo. Czyby kto uwierzył, że w takim mieście, jak Lattakija, jest z kilkuset myśliwych, z których każdy ma doskonale ułożonego sokoła, i oczekuje niecierpliwie przelotu ptactwa, ażeby wyruszyć w pole? Sokół Syryjski, używany do tych łowów, należy do rodzaju jastrzębi całkiem nieznanych w Europie. Jest z ubarwienia podobny do jastrzębia gołębiarza (*falco palumbarius*) tylko o wiele mniejszy. Łowionym tu bywa w sposób nader łatwy, bo na lep wyrabiany z żywicy jakiegoś drzewa, które tu pospolicie rośnie, a którego nazwiska zapamiętać nie mogłem. Zehwytany ptak do dni kilku ułaskawia się doskonale, poczem myśliwy zaczyna go układać do polowania. Do dwóch tygodni edukacja ukończona, i ptaka bracie

można na łowy. Przekonałem się o tem naocznie. Zaproszony przez konsula austriackiego w Lattakii, który tu w okolicy znaczne ma posiadłości, udałem się z nim na polowanie takie do jego willi w Bende, o dwie godziny drogi od miasta. Przy tej sposobności o jednym szczególe wspomnieć muszę. Wyjechaliśmy z Lattakii bardzo rano, by jeszcze chłodem zapolować. Pan konsul jechał na koniu arabskim czystej krwi, a mnie ofiarował przez uprzejmość swego angielskiego wierzchowca. Masztalerz jego jechał za nami na białym osiołku, i wioził potrzebne zapasy. Chcąc uniknąć upału, przyspieszyliśmy kroku i jechaliśmy całą przestrzeń bardzo raźnie, o ile siły wybor-nych naszych koni starczyły. Jakież było moje zdziwienie, gdy m spostrzegłem, że nasz masztalerz na białym osiołku zawsze był przy nas, a często nawet nas wyprzedzał. Gdy na to zwróciłem uwagę konsula, odparł mi, iż to jest biały osioł z Aleppu, który mu służy już lat 9, i nigdy jeszcze przez żadnego konia w dalekiej podróży wyprzedzić się nie dał. Kosztował go też więcej przed laty, niż oba te wierzchowce, na których myśmy jechali. Przekonałem się też wówczas o owej wcale nie uzurpowanej reputacyi białych osiołków z Aleppu i Damaszku.

Uprzejmy gospodarz, chcąc mnie zapoznać z tego rodzaju polowaniem, o którym wiele czytałem dotąd, a na którym nie uczestniczyłem nigdy, zaprosił swego przyjaciela, bogatego obywatela z okolicy, który przybył na jego wezwanie z licznym zastępem myśliwskim, składającym się z kilku strzelców z wylłami, z kilku jeźdźców i z czterech sokolników. Z tym licznym kontyngentem rozpoczęliśmy łowy. Wszyscy myśliwi ustawili się w szeregu, sokolnicy, każdy ze swoim ułożonym ptakiem na pięści, a wyłły naprzód puszczone. Była to właśnie pora przelotu przepiórek i chruścieli. W ten sposób ustawiony nasz szereg bojowy przechodził przez łąki i zbożowe łany, a wyłły szukały przed nami. Skoro wyłł który wystawił przepiórkę, chruściela, frankolina lub kuropatkę, zaraz najbliższy sokolnik podjeżdżał i na porwanego ptaka rzucał swego sokoła. Sokół rzucony rozwierał tylko skrzydła i z szybkością strzału już był na swojej zdobyczy, którą chwycił w szpony i wraz z nią spadał na ziemię. Sokolnik wtedy zeskakiwał z konia i odbierał ptakowi zawsze jeszcze żywą, choć pokaleczoną zwierzynę. Ten rodzaj polowania ulubioną jest zabawą Muzułmanów, którzy wiele mają gastronomicznych popędów, a którym Alkoran zabrania jedzenia zwierzyny, któraby niebyła nożem zarzynaną w imię Allacha i jego proroka. Dla tego to Muzułmanie na tych łowach z sokołami zawsze zehwytanego w ten sposób ptaka zarzynają. Inni myśliwi zehwytaną zwierzynę żywą na targi przynoszą i wszystkie czerwone kuropatwy, które ułaskawione w każdym prawie domu w Lattakii widzieć można, przez sokoły łowione bywają. Przypnęć muszę, że wszelkie polowanie, na którym jestem widzem a nie aktorem, jest mi wstrętne. Nieprzeczę, iż myśliwy każdy jest jak zbójca krwi cheiwym. Strzelam do zwierzyny z rozkoszą, ale na jej mękę patrzeć niemożę. Niechętnie patrzę na zająca gonionego przez charty, a tem mniej przez bigle, również na biednego ptaka zehwytanego przez sokoła. Dla tego to chociaż polowanie wypadło świetnie, i około kopy pokaleczonego w ten sposób ptactwa przywieźliśmy do domu, niemiałem już odtąd ochoty powtarzać tych łowów. Polują tu z sokołem i na antylopy, ale wyznać muszę, iż słysząc, w jaki sposób odbywają się te łowy, nie miałem ochoty w nich uczestniczyć. Do tego polowania układa się sokoła umyślnie. Wypycha się na ten cel skórę z zabitej antylopy i zamiast oczów wkłada się kawałki surowego mięsa. Zgłodniałego sokoła puszcza się stopniowo z coraz większej



odległości na wypchaną mumię i te sztuczne oczy stają się jego wyłącznym pokarmem. Z ułożonym w ten sposób ptakiem wyjeżdżają myśliwi na pustynię i spotkawszy stado antylopy, puszcza ją za zdobyczą. Sokoł wyuczony rzuca się na antylopę, usiada na jej głowie, wydziobuje oczy, a wtedy Arabowie dojeżdżają na koniach, i dziurkami oślepięte zwierzę dobijają. Za żadne skarby świata niechciałbym być uczestnikiem tak barbarzyńskiej, myśliwskiej wyprawy. Niebyłem też nigdy naocznym świadkiem takich łowów, i tylko wiarygodnych zaczerpnawszy opisów dziełem się nimi z czytelnikiem. Na tem kończę opis wyprawy naszej, i podaję spis ogólny zabitej przez nas zwierzyny:

|                                                                                        |                    |
|----------------------------------------------------------------------------------------|--------------------|
| Hyena . . . . .                                                                        | 1                  |
| Wilk . . . . .                                                                         | 1                  |
| Żbików . . . . .                                                                       | 4                  |
| Szakali . . . . .                                                                      | 16                 |
| Lisów . . . . .                                                                        | 2                  |
| Ichnajmonów . . . . .                                                                  | 4                  |
| Antylop . . . . .                                                                      | 2                  |
| Danieli . . . . .                                                                      | 1 (nieodnaleziony) |
| Zajęcy . . . . .                                                                       | 33                 |
| Frankolinów . . . . .                                                                  | 24                 |
| Kuropatw czerwonych . . . . .                                                          | 17                 |
| Przepiórek . . . . .                                                                   | 63                 |
| Chruścieli . . . . .                                                                   | 18                 |
| Pelikanów . . . . .                                                                    | 4                  |
| Kormoranów . . . . .                                                                   | 3                  |
| Czapli białych . . . . .                                                               | 4                  |
| Czapli brunatnych . . . . .                                                            | 8                  |
| Niebieskich kur wodnych (por-<br>phirea) . . . . .                                     | 36                 |
| Kaczek . . . . .                                                                       | 6                  |
| Nurków . . . . .                                                                       | 2                  |
| Kulonów . . . . .                                                                      | 2                  |
| Kszyków . . . . .                                                                      | 9                  |
| Fielauzów . . . . .                                                                    | 2                  |
| Łysek . . . . .                                                                        | 5                  |
| Czajek . . . . .                                                                       | 7                  |
| Orłów . . . . .                                                                        | 4                  |
| Sępów . . . . .                                                                        | 2                  |
| Jastrzębi . . . . .                                                                    | 16                 |
| Słonek . . . . .                                                                       | 3                  |
| Drobnego rozmaitego ptactwa dla<br>zbiorów pana Janowskiego.<br>ogółem sztuk . . . . . | 58                 |

Ubito razem sztuk 357.

Nareszcie dnia 12 Maja pożegnałem Lattakę i jej uprzejmych mieszkańców, którzy mi tyle dali dowodów przychylności, i teraz kołysząc się na falach morskich na pokładzie francuskiego statku „La Seyne“ z przyjemną prawdziwie myślą powracam ku chwilom, które przebyłem na Syryjskich wybrzeżach. Wrażenia najrozmaitsze napełniają duszę, cisną się pod pióro, a kreślić mi ich niewolno, bo zawiodłyby daleko po za ramy myśliwskiego pamiętnika. Pobieźmie tylko wspomnę w ogólnikowych zarysach o wrażeniach, jakie mi zostawił ten kraj i jego mieszkańcy. Z rzemiosła, jako pisarz dramatyczny, z dawna byłem skazany na studia psychologiczne, na badanie natury ludzkiej i skutków, jakie rozmaite otaczające wpływy na tej naturze wywierają. Pobyt mój w Azji niemało mnie w tym kierunku wzbogacił, i uwzględniając warunki otaczające ludność tamtejszą, porównawczo do ludności innych, do cie-

kawych doszedłem spostrzeżeń. Pódezas kilkotygodniowego pobytu mego w Lattakii miałem dopiero sposobność głębsze w tej mierze zrobić spostrzeżenia, ocierając się o wszelkie warstwy społeczeństwa Arabskiego tak w mieście u klas najzamożniejszych, jak u biednych górali i na puszczy koczujących Beduinów. Co do kraju samego, tej kolebki ludzkości i źródła, skąd spłynęły na świat zdroje cywilizacji, to przyznać trzeba, że ta ziemia jak najkorzystniej geograficznie i klimatycznie położona, dziś jest istną ruiną. Na każdym kroku stopa twoja potraça o jakieś gruzy, pamiątki po Fenicyanach, Rzymianach lub Krzyżowych rycerach, a zobojętniały Muzułmanin spokojnie przechodzi około tych relikwii historycznych i okiem na nie rzucić nawet nie raczy. Nie ma wątplenia, że dawna kolebka ludzkości przemieniła się dziś w sarkofag. — Co do ludności tego kraju, turysta europejski zawsze gotów zawołać: „To naród dziki! to barbarzyńcy!“ Chętnie na to się zgadzam, że wedle pojęć naszych dzisiejszych ci ludzie są dzicy, ale rzućmy na nich wzrok z innego stanowiska, z głębszego i ściśle psychologicznego, przedewszystkiem odsuwając od siebie wszelkie uprzedzenie, naszą Europejską zarozumiałość i dumę, a pewnie do innych dojdziemy przekonani. Wyobrazić sobie należy ludność nieoświeconą, używającą nieograniczonej wolności, ludność, u której kodex karny nie jest rzec można nawet martwą literą, ludność wiecznie uzbrojoną i żyjącą pod wpływem demoralizacji, niesionej przez przybyszów całego świata, a przytem w wiecznych z sobą rozterkach, wywoływanych religijnym fanatyzmem tak chrześcijan jak i Muzułmanów, i ludność taką wyobrazić sobie trzeba żyjącą pod rządem najgorszym w świecie, a właściwie bez rządu żadnego. Bo też w istocie rząd turecki w Azji już za nieistniejący uważać można. Wojsko bez odzieży i żołdu, urzędnicy od roku niepłatni, kawaleria bez koni, artyleria bez dział, kasy rządowe bez pieniędzy. Wyżsi urzędnicy, jak u nas zły żyd dzierżawca, resztki inwentarza ściągają na swą korzyść, bo czują, że ich rządy długo już trwać niemogą, że „chory człowiek umiera“. Otaczają więc jak źli słudzy łoża umierającego, i rozkradają cały dobytek, nim jeszcze chory zamknał powieki. Przy tak anormalnym ustroju państwowym, jakżeż sobie wytłumaczyć, że statystyka wykazuje tak nieznaczną ilość popełnianych tam zbrodni, rozbojów i kradzieży w porównaniu do statystyki państw europejskich? — W miastach o kilkudziesięciotysięcznej ludności, gdzie nie ma policyantów na ulicach, żadnej straży nocnej, gdzie w ogóle władze nad niczyjem nieczuwają bezpieczeństwem, bramy i drzwi wszystkie stoją dzień i noc otworem, klucze i zamki uważane tu są jako zbytek niepotrzebny. Kupcy pozostawiają w nocy swe bazy, pełne kosztowności, prawie wcale niezamknięte, a pomimo tego kradzież jest rzeczą niesłychanie rzadką, a jeśli się wydarzy, to zwykle winowajcą jest jakiś przybysz z Zachodu. Chciałbym widzieć naszą ucywilizowaną ludność europejską pod takim rządem i w podobnych warunkach! U nas pomimo policyi, żandarmów, konstabłów, nie ma nocy jednej, by w każdym większym mieście nie było kilku lub kilkanastu wypadków gwałtu, rozboju, włamania i kradzieży, tu panuje spokój, ludność żyje z sobą w zgodzie, i przez cały czas pobytu mego na Wschodzie nie słyszałem o jednym zajściu, o jednej burdzie ulicznej. Pod względem moralnym jak wiele więc nasza ucywilizowana Europa mogłaby się od dzikiej Azji nauczyć! Powód tej różnicy pod względem moralnym łatwym jest do zbadania. Ludność tutaj, lubo w niej krąży krew gorąca Wschodu, żyje nadzwyczaj skromnie, nie posiada potrzeb niemożliwych do dopięcia, umie swoje potrzeby zastosować do mienia, a nie odwrotnie,



jak to się u nas dzieje. Przytem ziemia ta błogosławiona do sytu w te niezbędne zaopatruje ją potrzeby, a wymagań wyższych nikt tu nie stawia, co jest z pewnością najwyższą filozofią życia. Nasze społeczeństwo wiecznie niezadowolone ze swego bytu i mienia, echiwe używania zmysłowego bez granic, używania, którego mu środki materyalne niepozwalają, gorączkowo chwytą się wszelkich sposobów, które do tego używania wiedzą. Przytem zamięłowanie szalonego zbytku, które od wieków było pierwszym objawem rozkładu narodów, wiedzie do jakiejś emulacji potwornej, i wszelkie środki są dobre i godziwe, jeśli tylko wiedzą do celu. Ztądto w społeczeństwie naszym te w przerażający sposób mnożące się klęski, ta istna rozkładowa gangrena, nieuczciwość, przemieszanie, kradzieże, morderstwa, ateizm, nihilizm, socjalizm i komuna. Tradycje wszelkie, u nas ze wzdargą podeptane, jeszcze na Wschodzie są aktem wiary. Tolerancja religijna istnieje tam w pełni dla najróżnorodniejszych sekt i wyznań, bo Alkoran bynajmniej wyznawcom swoim nienakazuje religijnej nienawiści. Ze wstydem dla Europy wyznać trzeba, że wielu nieszczęśliwych wygnanych z kraju własnego przez swe cywilizowane europejskie rządy z powodu wyznań, przez te rządy prześladowanych, tu pod znakiem półksiężyca znaleźli schronienie, i nikt im w wypełnianiu ich religijnych obrzędów nieprzeszkadza. Tradycje są tego powodem. Gościnność jest pierwszą cnotą mieszkańca Wschodu, dla tego każdy cudzoziemiec, każdy podróżny, jest tu bezpiecznym, jak pod skrzydłami anioła, bezpieczniejszym, jak mi to Midhat Pasza dobrze powiedział, niż na ulicach Paryża lub Berlina. Dla tego to podróż na Wschodzie niewymowny musi mieć urok dla każdego człowieka myślącego, dla badacza stosunków i dla psychologa. Powróci ztamtąd pewnie wzbogacony najciekawszymi spostrzeżeniami. Łudzić się wszelakoż nienależy, ażeby to podróż była łatwa. Uciążliwą jest bardzo. Brak dróg komunikacyjnych i wszelkiego komfortu dla nieprzyzwyczajonego Europejczyka staje się bardzo dokuczliwym nieraz, gościnność i uprzejmość ludności tylko w części te niedogodności zastąpić zdołają. Klimat chociaż najpiękniejszy na świecie także ma swoje odwrotne strony. W życiu niezapomnę na pustyni odbytej trzydniówki, podczas której wiał wiatr ognisty, zwany „Hamsin“, przy którym włoski Sirokko wydaje się Zefirem, a nasza lipcowa kanikuła orzeźwiający chłodem. Dla tego podobna wyprawa nie byłaby przyjemnością dla naszych zwykłych turystów, przyzwyczajonych do podróży koleją po miastach europejskich, dla których zazwyczaj podróż jest niejako inspekcją najlepszych hoteli, teatrów i *cafés-chantants*. Taki podróżnik będzie tu istnym męczennikiem, będzie tęsknił za komfortem, do którego przywykł, będzie wiecznie narzekał na brak wygody, na złą kuchnię i brak czystości, a piękności i ciekawości kraju niezwrocą na siebie jego uwagi. Chcąc podróżować z przyjemnością i pożytkiem po Wschodzie, trzeba się wznieść nieco ponad te drobiazgi, którymi niestety do przesyty zajmujemy się w domu, słowem powinno się dbać więcej o pokarm ducha, niż o pokarm ciała. Opisy tylu turystów naszych i zagranicznych są tego dowodem, jak widok czarownych piękności Wschodu, pamiątek historycznych tej kolebki ludzkości zastąpić może brak codziennej wygody i brak czystości i porządku, na który umysł wyższy, zachwycony innymi pięknościami, uwagi nawet niezwroci. Tę różnicę określił jeden wieszcz arabski najlepiej w wyrazach: „Orzeł patrzy w słońce, a kaczka w błoto“. Że ten wyżej opisany stan niedługo już potrwa w tych krajach, o tem wątpić niemożna. Rozkład Państwa Ottomańskiego sprowadzić tu musi nowe żywioły, których przednie strażę już swe cywilizacyjne dzieło rozpoczynają. Czy

to wyjdzie na pożytek tym krajom, przyszłość pokaże, co do mnie śmiem o tem wątpić, przypatrzyłem się bowiem pochodowi tych kulturtraegerów z nad Sekwany, Tamizy i Tybru. Pod pozorem cywilizacyjnej misji, na własną korzyść wyzyskują dobroduszną ludność, która im wierzy i nawet sympatją otacza. Nieprzynoszą tu oni dobrobytu, wypływającego z prawdziwej cywilizacji, tylko zaszczipiają chęć zbytku, pragnienie potrzeb, których zaspokoić niepodobna. W ten sposób gotują szezście dla przyszłych pokoleń tych krain.

Na zakończenie radbym jeszcze kilka uwag nakreślić o myśliwstwie tamtejszem. Co się tyczy grubego zwierzka, który jak wiadomo przeważnie głębokie góry zamieszkuje, to o tem ani ja, ani żaden z moich towarzyszy nie stanowczego powiedzieć niemoże. Powód tego wypowiedziałem już poprzednio w moich sprawozdaniach. Wyprawa nasza składała się z grona miłych, wesołych, najsympatyczniejszych towarzyszy podróży, którym wszelakoż brak było zamięłowania myśliwskiego, jakiego utrudzająca wycieczka w góry wymaga. W skutek tego pierwotny plan naszej całej wyprawy już w zarodzie zwichniętym został, i prócz kilku polowań, odbytych na daniela w Akbes, ograniczyć się musieliśmy na drobnej zwierzynie, przeważnie na ptactwie. Wiemy już z historii naturalnej i z licznych opowiadań tamtejszych mieszkańców, że w górach Libanu, Taurusu, Bulgar-daghu i Giaur-daghu znajdują się obficie koziorożce, muflony, niedźwiedzie, dziki, pantery, karakale, hyeny, szakale i mnóstwo innej zwierzyny. Nam niestety wystarczyć musiały opowiadania, bośmy się niemogli dostać w owe błogosławione regiony dla braku sił myśliwskich w naszym gronie. W skutek tego nikt z nas nie ma prawa najmniejszego wygłaszać zdania o zwierzostanie w Syrii, to każdy myśliwy pojmie z łatwością. Żeśmy się w tych warunkach prawie wcale nie lub bardzo rzadko spotykali z grubą zwierzyną, to jest rzeczą oczywistą. Gdyby naprzykład jakiś Francuz lub Anglik, słysząc o polowaniach naszych w Galicyi na dziki, wilki i sarny, przyjechał koleją do Lwowa, a potem pojechał dajmy na to do Winnickiego lasu, a przeszedłszy się po nim parę godzin ze strzelbą powrócił fiakrem na obiad do George'a, czyż miałby prawo mówić, że w Galicyi nie ma zwierzyny, bo jej tam niespotkał? Równie śmiesznem byłoby i z naszej strony wypowiedziane zdanie o tamtejszem łowiectwie i o stanie grubej zwierzyny w górach. Nauczony doświadczeniem, myśliwych naszych do dwóch kategorii zaliczam. Jest myśliwy żarłok — i myśliwy smakosz. Myśliwy żarłok jest jak ryś lub sokoł wiecznie spragniony krwi zwierzyny każdej, chciwy strzelaniny jak najgęstszej do czegokolwiek, i polowanie, im bardziej do rzezi podobne, tem dla niego ponętniejsze. Każdy prawie początkujący myśliwy zrazu jest takim żarłokiem, a u niektórych ta żarłoczność przeciąga się i w lata późne. Bardzo często zaś myśliwy krwią przesycony staje się z czasem smakoszem, lada jaka zwierzyna mu już niesmakuje, i strzelanina ciągle nie ma dla niego uroku. Otóż wyznaję, niestety, iż dziś, zestarzały na myśliwskim polu, już jestem tylko smakoszem. Urok najwyższy ma dla mnie zwierzyna nieznana mi dotąd, i spotkanie z nią uważam za najwyższą przyjemność myśliwską. Dla tego polowania w Syrii do najmielszych moich zapisuję wspomnień, bo podobne spotkania wydarzały mi się codziennie prawie. Przytem jeszcze wyznać muszę, że bardzo mnie zajmował rodzaj tamtejszych polowań, lubo nieradym się z nim kiedykolwiek spotkać w naszym kraju, i nikomu bym go nie zalecał. Brak wszelkich praw myśliwskich i ochrony dla zwierzyny, przytem wolność i swoboda dla każdego strzelca, strzelanie wszystkiego i wszędzie, zape-



wne że to na stan zwierzyny fatalnie oddziaływać musi. A jednak ta swoboda dla europejskiego strzelca ma w Syrii urok wielki. Tu strzelec jest wolny, jakby okręt na morzu, buja kędy go nogi tylko poniosą. Przypomniało mi to polowania na stepach naszych Podolskich za moich lat młodych, gdy nie było dla myśliwego sąsiedniej granicy. Pódezas pobytu mego w Lattakii dopiero tej przyjemności w pełni użyłem, uganiając z tamtejszymi strzelcami po pustyni do Snobar-Bende, aż ku stokom gór Dżebel-Akra, ciągle ścigając antylopy. O wiele obfitsze byłbym tam zebrał plony, gdybym niebył opuścił tych polowań dla uciążliwej nad wyraz wszelki i zawsze bezwownej pogoni zawziętej za panterami i hyenami.

Lubo, pod względem polowania na grubego zwierza tę pierwszą wyprawę myśliwskiego towarzystwa polskiego uważać można za nieudaną, nie ma powodu, by się druga podobna wyprawa lepiej udać nie miała. Zapewne, zaprzeczyć niemożna zniewieściałości przestraszającej w dzisiejszem naszym pokoleniu, które niestety od rycerskiego usposobienia naszych przodków tak daleko odbiegło, ale wątpić nie trzeba, iżby się znalazło jeszcze w naszym kraju jakieś grono prawdziwie zamiłowanych i dzielnych myśliwych, któreby trudom podobnej wyprawy podołało.

Staralem się wedle możności nakreślić w tem sprawo-

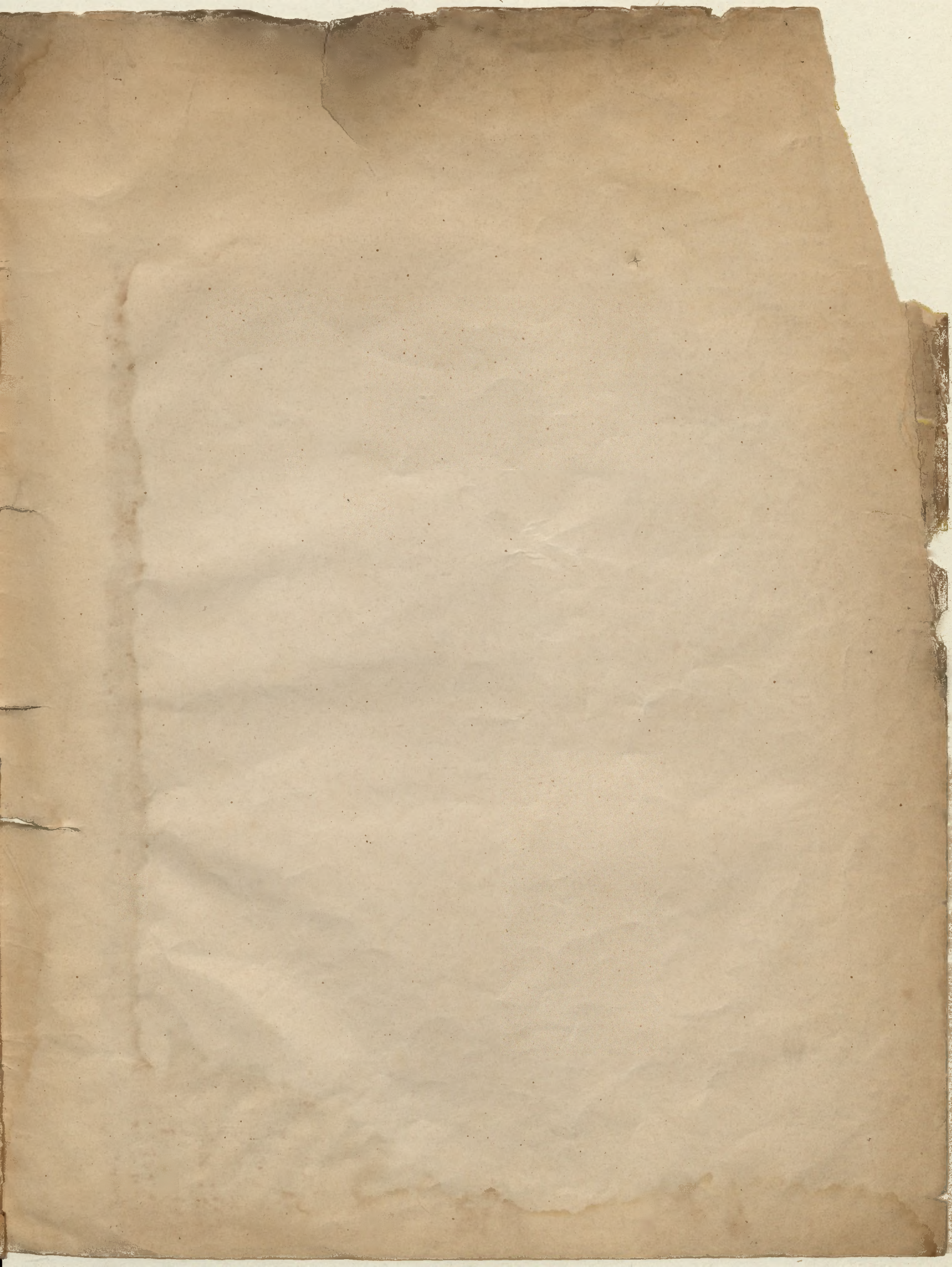
zdaniu trudności, z jakimi każdy podróżny na Wschodzie walczyć musi, każdy się więc obliczyć może ze swojemi siłami, a byle miał zdrowe płuca, żelazne nogi, prawdziwie myśliwskiego ducha i zasób cierpliwości, to odbędzie wyprawę zdrów i cały, i wzbogacony w wrażenia na całe życie. Co do strony finansowej, dodać tu muszę, iż pomimo tego, że się na wypadek zabezpieczyłem w kredytywę na bank w Beyrucie, gotówką wziąłem tylko 1700 złr., z których po czteromiesięcznym pobycie na Wschodzie, jeszcze 200 franków przywiozłem do domu, a z powrotem towarzyszył mi przyjęty przezemnie strzelec Arab. Na to jeszcze uwagę zwrócić muszę, iż przez stopniowy ubytek naszych towarzyszy koszta wyprawy rozpadały się na coraz mniejszą ilość członków, gdyby nie to, ów wydatek byłby jeszcze mniej znacznym. Pytam więc, gdzie i w jaki sposób możnaby tak małym kosztem użyć przyjemności tak dalekiej podróży? Gdyby się więc raz jeszcze jakie grono prawdziwie zamiłowanych myśliwych u nas zebrało, i bądź do Syrii, bądź w jaką inną okolicę Wschodu chciało przedsięwziąć łowiecką wyprawę, niewahałbym się ani chwili w niej uczestniczyć, jeśliby tylko zdrowie i okoliczności pozwoliły, a na bytem tamże doświadczeniem mógłbym się może w niejednej mierze przysłużyć moim kolegom.













720076

III